

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Janusz Głowacki

**MY SWEET RASKOLNIKOW
OBCIACH**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

My sweet Raskolnikow

Usłyszałem: – Allô. – Odpowiedziałem po angielsku: – Hallo. – I to była ona. – Where are you? – zapytała. A ja zrozumiałem i odpowiedziałem: – In Paris. – Zapytała: – At the airport? – Też to znałem, więc mówię: – Yes. – A ona: – I'm driving – czyli jadę. I wszystko było jak się należy. Samochód miał biegów pięć, magnetofon oczywiście, odkrywany dach jak najbardziej, zaś Lubow objęła mnie przypominając, że ma piersi małe, sterczące jak psie uszy i że nie przyjechałem tu dla przyjemności. Wszystko włączyła i ruszamy. Ulice były to węższe, to szersze, samochody jechały w równych rzędach najpierw po trzy, a potem po cztery. Jak któryś ma zбитy reflektor i urwany zderzak, to drugi o sześć za dużo i dwa zderzaki. Domy na ogół wysokie, ale były i niższe. Tak jechaliśmy o wiele za szybko, aż zrobiło się całkiem przestronnie, a na chodnikach pojawiło się pełno Francuzów i to były Champs-Élysées. – Czempes Elizes – powiedziałem z polska, a Lubow zaśpiewała: – O Champs-Élysées – i do-dała; – You are in Paris – co było przyjemnie usłyszeć. Patrę w lewo, patrę w prawo i znowu w lewo, znowu w prawo. Robię tak, bo pisarz, który przydzielił mi sto trzydzieści pięć dolarów, powiedział: „Kładźcie tam oko, kładźcie, popatrzcie sobie, jak się tam to wszystko przełamuje”. Aż stanęliśmy na środku jezdni, wszystko się zapchało, zatkało, klaksony się dławia, jęczą, kurz, szyk się złamał, samochody w sześciu, siedmiu stoją w rzędach, gęsto, a gdzie indziej dziury. To nimi na motocyklach tylko świszczę, tak przemykają w hełmach baniastych, kurtkach ze skóry czarnej – nagrody na nich i odznaczenia – młodzi Francuzi na japońskich Hondach. To już pułkownik znajomy przepowiedział, że my garnitury, teczki, okulary nosimy, żeby się wydać inteligentniejsi, a ci młodzi na wojskowo, prawdziwych mężczyzn udają. Jednak ruszyliśmy, na chodniku pogotowie trąbi i błyska światłami (a ja patrę), dookoła samochody, nowe i porzbijane, jak nowe, to błyszczą, że bardziej nie można. Tylko na bok dwa najbardziej rozbite zepchnięto. W jednym krzyk, w drugim przez okno sterczy ręka z zegarkiem złotym na przegubie. Lubow tylne światło Volkswagena skasowała, zderzak Forda wgniotła i wprowadziła samochód w karuzelę. Przy Pont Nacional już, już, prawie że upolowała dwóch patriotów młodych. Twarze mieli pociągnięte farbą białą, włosy ciekawiej – trójkolorowe, w narodowe barwy, oj, mojemu dawnemu koledze, Lizakowi, sprawiłoby to komplikacje: Przypalać im, czy aby nie przypalać? Skręcamy w bulwar Poniatowskiego, bo nas, Polaków, porzrzucało po świecie, i jedziemy chrzęszcząc oponami na rozbitym szkłe. Lubow puszczając kierownicę gładzi mnie po ręce i na podjazd wjeżdżamy, i na dół, a obok rzeka, na most i z mostu w boczną aleję, jak w lewo skręcamy, to potem w prawo i już jesteśmy w lasku Vincennes, dokładnie takim jak Bielański, ale gorzej zadbanym. Alejami jeżdżą samochody, Francuzi chodzą po trawie, leżą pod drzewami, grają wesoło w warcaby. Wszystko jak na niedzielnej łączce przed zakładem przemysłowym w Warszawie, gdzie w święta pomysłowe dzieciaki montują stoły z kawałków cegieł, desek i blachy, równo, aby się wino nie bełtało. Tam to przychodziłem z Niedobitkiem po jego ojca, kiedy już popadł w pesymizm, nie znajdował przyjemności w picciu, a złościła go nawet szyjka butelki z wodą brzo-zową, że za wąska.

Ale na razie co mi tam Niedobitek. Patrę w lewo, patrę w prawo, bo pisarz, który przydzielił mi sto trzydzieści pięć dolarów, powiedział: „Nawarstwiajcie sobie, nawarstwiajcie, to się wam potem scałkuje w wartościowej syntezie.” A brzegiem alejki spacerują kobiety, podrygują pośladkami, mrugają, piersi mają duże, małe odsłonięte, wysuwają języki, kręcą torebkami i kuszą. Tak oto dojechaliśmy przed dom. Lubow, raczej przejechaliśmy pod nim. Od

tyłu wyglądało to jak podwórko – studnia u Niedobitka na Brzeskiej (mam oko), jednak zupełnie. Zamiast figurki Matki Boskiej, otoczonej rzadkimi sztachetami, nieco żółkły od moczu, stały tu Simca Matra jaskrawo żółta, Ford czerwony i jeszcze dwa samochody. A my do windy. Niedobitek mieszkał na piętrze szóstym, po obu stronach korytarza pokoje pojedyncze, ale ustawne, na końcu kibel. On mieszkał w trzeciej klatce od kibla, wejście z bramy, po drewnianych schodach wychodzonych, wygodnych, z rodziną. Powodziło im się jak najlepiej. To były lata pięćdziesiąte i wszystkim chciało się pracować. Ojciec Niedobitek miał wtedy słuch absolutny – przed południem grywał na harmonii w pociągach, a wieczorami śpiewał dla przyjemności: „Hen, na meksykańskim szlaku jedzie kowboj na rumaku.” Młody Niedobitek pracował jako recepcjonista w hotelu harcerskim „Pod Liliami” – odmawiał jednak dorabiania sutenerstwem. Jego kolega, Lizak, chciał koniecznie po kryjomu wynaleźć nową pastę do butów, zaś nauczyciel geografii z młodziutką żoną opowiadał szeroko o największych na świecie kopalniach rudy i diamentów na Uralu. Ale czasy te przeminęły z wiatrem.

Mam uśmiech zjednujący ludzi. Kiedy przyjechałem pod Warszawę, gdzie się pracuje twórczo w kolektywie, Najwybitniejszy Pisarz powiedział, że uśmiecham się jak Gioconda. Uśmiech Giocondy wcale mi się nie podobał, ale następnego dnia wstałem wcześniej, włożyłem tylko kąpielówki i zacząłem biegać. Biegałem, biegałem, obiegłem klomb kilka razy i nic, ale biegałem. Już się począłem obawiać, że to na nic, że nic nie wybiegam, ale jeszcze biegałem i naraz po pokoju Najwybitniejszego Pisarza jakby wichur przeszedł: firanki zafalowały, okno zatrzepotało. Przy obiedzie zaproponował wspólne obmyślanie scenariusza i wieczorem bodaj zaczęlibyśmy go pisać i film polski wzbogaciłby się o ciekawą pozycję, gdyby nie przyjechała Lubow.

Już kiedy miałem sześć lat, wiedziałem, że nie można mieć wszystkiego. W bramie mojego domu pracowała muskularna kobieta o pięknie owłosionych nogach. Twarz miała jasną, oczy łagodne. Poniedziałek był na podwórku niecierpliwie oczekiwanym dniem wypłaty tygodniówek dla dzieci. Z kilkoma kolegami i jedną koleżanką stawaliśmy przed koniecznością wyboru. Wspomniana kobieta, jeśli akurat nie miała powodzenia, zgadzała się, po przeliczeniu składkowych pieniędzy, podciągnąć spódnicę i odsłaniała porośnięte bogatym rudym włosem podbrzusze. Trwało to tyle co przelot samolotu, potem czekał nas długi, smutny tydzień bez landrynek. Poznałem więc wcześniej smak wyrzeczeń, a następne lata doświadczenia te ugruntowały.

Ale wszystko do czasu, bo teraz cztery pierwsze piętra zajmowały składy, a my jedziemy windą wyżej (patrzę sobie, patrzę). Znowu mnie objęła, przycisnęła do lustra. Wsiadamy. Otworzyła ozdobne, dębowe drzwi – może i miały tyle zamków, co komis na Nowym Świecie, ale nie miały kraty – potem po kostki w dywan, pufy, kandelabry, marmury, butoniery, zegary. Na lewo drzwi do mnie, na prawo do niej, na wprost, zamiast ołtarza, kobieta i mężczyzna na zdjęciu kolorowym. Ona z uśmiechem jakby przestraszonym, malutka. On wyglądał tak, jak powinien wyglądać przemysłowiec – trochę podobny do Ernesta Hemingwaya, gdyby był bokserem, nie miałby kłopotów z ochroną szczęki, ale i w branży tekstylnej zaszedł daleko, dużo dalej niż mój ojciec. Kiedy tato żegnał mnie na lotnisku, nie miał żadnej wątpliwości, że musi mi się udać. „Pomścisz mnie, synu” – mówił.

Kryształowe świeczniki wisiały symetrycznie w czterech rogach. W moim pokoju panował półmrok. Żaluzje na obu oknach i drzwiach na taras opuszczone. Lubow pocałowała mnie w usta, pokazała, gdzie jest łazienka, i wyszła. Pachniało. W całym domu unosił się czysty zapach, jakby świerków na ścieżce Pod Regłami i konwalii. No, Janek, pomyślałem, wygląda na to, że przyjechałeś we właściwe miejsce. Tak pachnie szmal.

Ale też ciekawe, że gdyśmy przystanęli po drodze, Lubow pozwoliła mi zapłacić za piwo. Sięgałem do kieszeni ruchem, który nie trwał przecież minutę. Spokojnie sobie zaczęła, a nawet powiedziała, ile zostawić napiwku, nie mówiła jeszcze nic o przyszłości.

Pojawiła się w Domu Pracy Twórczej w czasie kolacji. Przywiozła ją Pola, żona Najlepszego Scenarzysty Filmowego, co to skończył studia w Moskwie, a potem był attaché kulturalnym w Paryżu lub odwrotnie. W czasie wspólnych pobytów za granicą Pola nauczyła się zdzierać skórę z parówek jednym ruchem, z miną zdziwionego dziecka. Lubow obejmowała szklankę długimi, szczupłymi palcami, długie, na każdym trzy, cztery pierścionki, na przegubie złota bransoletka. Spodobała mi się od pierwszej chwili. Posadzono je przy naszym stole, dotąd siedzieliśmy we dwóch z czarnowłosym poetą lirycznym. Najwybitniejszy Pisarz szepnął do mnie: – Dziokonda – a powiedział po francusku: – Oto utalentowana nadzieja naszej literatury. – Poeta splunął, Lubow uśmiechnęła się, Pola zatrzepotała rzesami i powiedziała: – Chodźmy się przejść, pokazać jej, bo to przecież zima nasza, mroźna, biała. – Lubow narzuciła na dzinsowy kostium futro z lisów, poeta przyznał, że sprawia wrażenie bardzo inteligentnej, i mówi: – Niech tam sobie na zimę popatrzy. – A park wyglądał jak należy: drzewa pokryte śniegiem od góry do dołu, gwiazdziste niebo, niedalekie psa szczekanie i zimno, ale do wytrzymania. Pola poznała Lubow w czasie zwiedzania Pietropawłowskiej Krieposti, polubiły się i już razem oglądały puszkę-cara.

Poślizgaliśmy się, śniegiem obrzucili i pohukali, aż Pola mówi: – Ona jest bardzo bogata.

– Ale płacze – zauważyłem, bo Lubow miała łzy w oczach. – Pieniądze szczęścia nie dają.

– Płacze, bo jej brat zginął w wypadku.

– Na biednego nie trafiło – warknął towarzyszący nam poeta.

Lubow potyka się, chwytam jej dłoń, a ona ściska mi palce i rękę w spodnie ładuje.

– Hu ha, hu ha – krzyknąłem. A poeta za mną:

– Nasza zima zła.

– Wyglądasz na rozsądnego chłopca – pochwaliła mnie Pola. – Pohukajcie jeszcze, niech wie, i też ją obrzućcie śniegiem, niech ma.

Wróciłem do pokoju, a za mną poeta ze szklanką do mycia zębów. Umyłem swoją, rozlałem wódkę i siedzieliśmy w milczeniu. A za oknem gwiazdy i pies wyje.

– My tu siedzimy, a nad nami sobie podają pieniądze. – Pierwszy spostrzegł się poeta.

– Napisz poemat z wątkiem sensacyjnym – poradziłem.

Pokręcił głową i powiedział, że taka Francuzka jak ta to byłoby akurat coś dla niego, gdyby kogoś takiego potrzebował. Odpowiedziałem, że z takiego poematu można by zrobić serial. Wypiliśmy jeszcze i zapytał, czybym się nie zgodził z nim, że on takiej dziewczyny potrzebuje. Znowu wypiliśmy, butelka pusta i widzę, że on już na moją Derby zerka. Chcąc mu dodać otuchy powiedziałem, że w dwudziestu pokojach obok siedzi dwudziestu utalentowanych artystów, każdy patrzy w okno i nie myśli o takich głupstwach.

– Dziewiętnastu – odpowiedział, bo na wybetonowanej alejce dudniły kroki Najwybitniejszego Pisarza.

– Odstaw Derby – mówię. Gdy wtem wołają, że jest do mnie telefon. „Przyjeżdżaj – słyszę – ta mała chce cię zobaczyć, a jutro wraca do Paryża.”

Mąż Poli przywitał mnie w drzwiach i tak się ucieszył (nigdy się nie cieszył), że zatarł ręce z radości, klepał mnie po plecach, zapraszał do środka (nigdy mnie nie zapraszał). No jak tak, to ja zdradziłem.

– Zdradziłeś swoje pokolenie – powiedział Olek z mojej bramy, kiedy później zatrzymał mnie na ulicy.

– Jakie pokolenie, Olek?

– Bądź spokojny, jedno z najlepszych pokoleń.

– W jakim sensie je, Olek, zdradziłem?

– Zadałeś się z pankami – zasmucił się Olek, co miał nieszczęście spóźnić się na wojnę, na której wybiłby się z całą pewnością, a tak się nie wybił.

Od progu kiwnął mi głową Wybitny Pisarz średniego pokolenia (nigdy nie kiwał). Popatrzył na mnie, po smutnych twarzach rozwieszonych na ścianach ikon, napił się, ukrył twarz w dłoniach, jakby chciał zapłakać nad nami, nad krajem, lecz tylko poprosił o blina.

Najwybitniejszy Reżyser pogratulował mi świeżości mojej powieści i popchnął do stołu, na którym Pola rozdzielala po blinie z kawiozem.

– Jakie piękne to jasne dorastanie, ta przyjaźń dwóch maluchów, ta przedmieścia urokliwość. Pan jest osobowością liryczną, magicznym realistą, a nawet nadrealistą.

– I love you – powiedziałem do Lubow.

– Cudowna, cudowna, jak z Malczewskiego – ucieszył się reżyser.

– Robi pan coś nowego? – zapytałem z wdzięczności.

– Zrobię, zrobię, zrobię, na pewno zrobię – zatrzymał się zaniepokojony. – Chciałbym... tylko wie pan...

– Nie puszczą?

– Ależ skąd! – Zamrugął, zatarł dłonie, zadygotał. Poprosiłem o jeszcze jednego blina.

– Powiem panu coś zupełnie szczerze – chwycił mnie pod rękę i ściszył głos. Spojrzał w lewo, spojrzał w prawo. – Na Zachodzie to jest nie do pomyślenia. Żeby coś ambitnie, artystycznie, od siebie. – Zmrużył oczy. – Zrobię tam teraz jeszcze coś, takie tam, w ogóle nie ma o czym mówić, takie nic. Bo wie pan, ludzie dają się zwieść pozorom, lecz ja wrócę tutaj odetchnąć świeżym powietrzem. Tylko tu jest atmosfera, w której może wzrastać arcydzieło. Zawsze trzeba mieć na uwadze nasze dobro najwyższe, mam na myśli niektóre określone decyzje. Koniecznie musi pan coś dla mnie napisać. Coś takiego świeżego, lirycznego.

– Eto wielikij polskij pisatiel – usłyszałem z boku i zaraz potem: – It's a famous polish writer. – Eto wielikij polskij reżysior.

– Europa, kurdefelek – ucieszył się mężczyzna w błękitach. – Ty masz przyszłość – trącił się ze mną. – Tylko zapamiętaj, że krytycyzm jest niezbędny, o ile sprzyja postępowi. Natomiast o ile postęp już jest... – zapatrzył się w dekolt Poli, który nie był tak głęboki, aby patrząc z góry można było zobaczyć czubki jej butów. Uprzejmie znieruchomiała, bo był to człowiek wpływowy, lecz tylko na chwilę, przeprosiła i pociągnęła mnie za sobą, a ja Lubow, i po schodach na górę. Jeszcze do tyłu patrzę, Reżyser Najwybitniejszy ręką mi macha. Zobaczyłem Synka. Chciałem zawołać, ale jedną ręką trzymałem Lubow, za drugą ciągnęła Pola. Ależ proszę, pomyślałem, Synek też tu. Jakoś się to nasze pokolenie trzyma.

Ostatnio widziałem Synka parę lat temu, przygnębiony ciągnął za rękę małego chłopca.

– Chciałem za dobrze, przekręciłem się – wyznał.

– Twoje dziecko?

– Na cholerę mnie dziecko. Jak się rozwiązaliśmy – pamiętasz tamte lata – byłem bez przydziału i buzowałem, ale Głodomór, co pracuje w PAP-ie, podrzucił mi gościa do pilotowania. Język prawie taki sam, diety na podróż, hotele. Na nieszczęście mnie polubił i uparł się, żebym przyszedł na przyjęcie. Była tam kobieta. Suchar, duży nos, oczy jak pochodnie, czarne wąsy, lat czterdzieści.

– Słowem żeś się upił.

– Gdzie tam! Był jej narzeczony, bardzo Wpływowa Osobistość. Co ci będę mówił, wpływowa jak najbardziej. Głodomór przestrzegał: „Uważaj – mówi – ta czarna sucha jest od niego.” Więc uważam, ale to na nic. Przenieśliśmy się do niej do domu. Zaprosiła do tańca. Osobistość mnie rękę ścisła, jak się czuję, gdzie bym chciał, pyta, pracować, może w dziennikarstwie, chwali za inteligencję, za urodę.

– Pedał?

– Gorzej. Chciał się jej wyzbyć i mnie wziąć na zmiennika.

– I co?

– Mieszkanie mamy duże, ładne, ale moralnie jestem poniżony.

– Możecie się tu przespać, a i pożegnać. – Pola drzwi zamknęła, a Lubow na wszelki wypadek klucz przekręciła. Podeszła do okna. Widok był stąd piękny, na Cytadelę, dookoła śnieg, białe wszystko, romantyczne, nostalgiczne, warta chodzi. Wiem, że z nimi tam, na Zachodzie, nie przelewki, można by jej nogę podstawić, wywalić na podłogę i potem ją normalnie piłować, ażby się rozpekła. Ale czy to ją porwie? Roztopi francuski chłód, zaciekawi? Trzeba jej pokazać, że my tutaj, w kraju Chopina, inaczej, zadumani, silni duchem, refleksyjni. Zresztą są i święte prawa gościnności. Lubow czaiła się w mroku, nie ułatwiała mi rozmowy. Czyżby chciała ściągnąć sweterek? Więcej nawet, jednym ruchem, jakimś zagranicznym, zdarła z siebie spódnicę i już leży. Trudno. Czekala na mnie moja Somosierra. Zamknąłem oczy i poszedłem głową do przodu. Przez godzinę odstawiałem Francuza, a potem Belga. Pod koniec dwa razy trzasnęła mnie pięścią po plecach i zasnęła. Szczęść Boże i na zdrowie.

I teraz wszystko to zaczyna się od nowa.

Pięknie, ale nie po to przyjechałem taki kawał, żeby tracić zdrowie i siły na podwójnym tapczanie i po miesiącu wyjechać z powrotem. Przytuliła się do mnie w windzie, proszę bardzo, ale nie będę się dawał więcej rolować. Co to w ogóle jest! Człowiekowi należy się trochę jakichś wyższych uczuć, w końcu jestem zmęczony, mam trzydzieści parę lat, jestem kimś, trzeba jej to jakoś wytłumaczyć, że się odróżniam od tych przeciętniaków, którzy ją do tej pory dopadali. Trzeba jej tę odrębność uświadomić, żeby zrozumiała to zamyślenie, w końcu jest ono charakterystyczne również dla naszego kraju. Stąd cała jego dziwność. Trzeba ją skołować, żeby w ogóle nie wiedziała, o co się rozchodzi, tylko patrzyła we mnie jak w ołtarz. Oczywiście można by ją pobić, potem się rozplakać, uklęknąć, przytulić do kolan, znowu huknąć, żeby zrozumiała, że to nie żadne wyścigi samochodowe, podróż dookoła świata, wystawa biżuterii, że to jest sprawa ducha, zadumy, zamyślenia, zapadnięcia się w siebie. Inaczej się to wszystko rypnie raz dwa. A z nią nie jest najlepiej. Jest miła, ale ma oko za wesołe, jasne. A tu trzeba rozczulenia, rozmarzenia, uszczęśliwienia, jak w Panu Tadeuszu, Tristanie i Izoldzie albo tym filmie O szóstej wieczorem po wojnie, kiedy lejtnant Skwarcow wraca z wojny bez nogi, ale szczęśliwy, a narzeczona biegnie mu w najlepsze na spotkanie przez pięknie oświetloną Moskwę. Bujalem się w fotelu na tarasie, Lubow zniknęła, ale wraca. Kimono luźne, słońca na nim i smoki. Nic (bujam się), całuje mnie, niech sobie całuje. Uśmiecha się wesoło, nic, nic, ja jej ten uśmiech zgaszę. Rozpina kimono (bujam się). Najpierw się zdziwiła, potem popróbowowała na mnie siłą wepchnąć, ręką zahaczyć, ale się omsknęła. Jeszcze bardziej się zdziwiła. A niech się dziwi. Postąła i poszła. Byłem sam.

„Skolko szastja, skolko muki”, zaśpiewały dwa głosy. Otworzyłem oczy, ciemno, zamknąłem, ciemno, naciągnąłem kołdrę na głowę, odrzuciłem, i już siedzę przytomny. Ale śpiew jest. Korbka zazgrzytała, za oknami wstawał rześki francuski poranek. Głos był i męski, i kobiecy, to jeden był górą, to drugi. Oj, może to w Lubow coś się przez noc przelamało albo pękło. Marmurowa posadzka błyszczala jak w poczekalni na Dworcu Wschodnim, drzwi do Lubow zamknięte, taras pusty, śpiew dochodził z dołu tęskny. W wielkim salonie (wśród pufów, dywanów, świeczników, zegarów) drobna kobieta. Nogę prawą wysuwała do przodu, ręce rozkładała, już, już miała polecieć, ale nie. Tak oto poznałem Natalię, matkę Lubow, z pochodzenia Rosjankę, która wyszła za Włocha, mieszkała w Paryżu, a kiedy mnie zobaczyła, głos jej zamarł, magnetofon wyłączyła i załkała. „Gałubyje głaza, u ciebia gałubyje głaza.” Cichła w sobie powoli, aż zaproponowała śniadanie.

– A Lubow?

– Śpi. To jeszcze dziecko, malczyszka, dietionok, riebionok – pokręciła głową ze wzruszenia, oczy szklą się znowu.

Roztyta Hiszpanka podaje i kawę, i precelki na tarasie. Trochę się odzwyczaiłem, a tu ktoś mnie rozumie. Coraz to popatruję w okno Lubow, ale matka uspokaja.

– Ona zawsze długo śpi.

Znów popatruję, a matka swoje:

– Zdrowie u niej delikatne.

– W Warszawie wstała wcześniej rano.

– Jest bardzo wrażliwa.

– Ja też.

– Od śmierci brata. – Znów jej oczy zwilgotniały. Jakoś nie za bardzo podobał mi się ten brak opanowania u człowieka interesu.

– Odkąd Paul zginął – pokiwała głową. – Był nadzwyczaj zdolny, w interesach pomagał. – (Oczy zaszkłone od nowa.)

Czyli że teraz interesy idą im gorzej.

– A ty jak myślisz, patrząc z zewnątrz, czy to mogło być morderstwo, czy nie mogło?

Więc pocieszam ją, że z mostu w Modlinie trzech młodzieńców zrzuciło do rzeki kalekę beztroskiego, który jeździł wózkiem i na harmonii grał.

– Dlaczego?

– Bo przyspieszone spadanie ich interesowało.

Na zdjęciu Paul miał twarz okrągłą, duże uszy jak Niedobitek Najmłodszy, który od małego świetnie sobie radził, miał wśród rówieśników posłuch i szacunek, a wpadł dopiero, kiedy miał lat osiem, i to na zupełnie głupiej sprawie.

Od sklepu Natalii bogatego, jak się należy, aż do Notre-Dame łążą gołębie oswojone, wypasione, takie, że ledwie łążą. Autokary, samochody trąbią, co i raz to gołąb nie zdąży. Wysiadają Amerykanie, Japończycy, zadzierają głowy, szczękają aparatami. Jako dyrektor włókienniczej fabryki mój ojciec na każde urodziny od załogi dostawał papierośnicę posrebrzaną. Ale pracownicy przynosili też do fabryki poupychane w teczkach gołębie, obwiązywali je włóczką najdroższą i przez okno. A gołębie przeciążone leciały nad ziemią nisko jak bombowce, aż jeden spadł przy bramie pod nogi ojca. Tatko zawiadomił policję, jak się należy, i wyjechał służbowo. A w hotelu już czekała podrapana przez załogę i zepsuta przez alkohol kobieta. Jednak jako że ojciec miał szczęście i zadawnione znajomości, więc się z próby gwałtu wyrokiem z zawieszeniem i utratą posady wykaraskał. Japończycy i Amerykanie do środka. Dookoła „gotik, gotik” – słyszę. Policzyłem królów judejskich i izraelskich – wyszło dwudziestu ośmiu. A w katedrze było i chłodno, i przyjemnie. Przewodnik Japończyków miał megafon i przewagę nad kobietą w żałobie, za którą chodzili Amerykanie. Była to walka piękna, bo nierówna. Synowie pionierów znali się na dobrej robocie, zachęcali, klaskali, przytupywali, kapeluszami z teksasu pomachiwali. A ona czerwieniała z wysiłku, ale zaraz bladła, mocno chrypiała, a pod koniec raczej piszczała. Przewodnik Japończyków przerywał dla nabrania oddechu, a ona oddechu nie nabierała. Dlatego jej życzyłem, bo mi kraj przypominała.

W pierwszym rzędzie ławek obok śpiącej kobieciny mężczyzna w koszuli bez krawata. Ręką kiwał, a chodziło mu o mnie.

– Dzień dobry panu – dłoń mi uściśnął. Twarz i szeroka, i wesoła, brwi zrosnięte, kędziory rudawe. – Piotr Popławski. Proszę, niechże pan siada. Widziałem pana na lotnisku z docentem Dłubniakiem.

Kobiecina chrapała, Japończycy od ołtarza do ołtarza, Amerykanie za nimi.

– Lubię tutaj posiedzieć, pomyśleć. Wierzy pan w Boga?

– A więc pan jest naukowcem?

– Zajmuję się psychologią historii. Pracę piszę o dziejach faszyzmu we Francji.

Coś jeszcze powiedział, ale nie dosłyszałem. Przewodniczka Amerykanów miała twarz bladą, ale i ceglastą, czoło potem złane, resztą sił gonila.

– Amerykanie – spojrział ironicznie Popławski i pokręcił głową. – Co pan sądzi o tym kraju?

– Chory?

– Och, wie pan, dzieje narodu są dziejami głupoty ludzkiej. A wie pan, czego najbardziej nam wszystkim brakuje? Iwanów Groźnych, a gdzie pan mieszka, jeśli można?

Tymczasem zaś nowi Japończycy przez portal się wpychali, a wypoczęty przewodnik megafon uruchomił.

– Względność – usłyszałem jeszcze – ...relatywizm.

– Przepraszam.

– Okropna jest względność tego wszystkiego.

– A konkretnie?

– Jesteśmy w miejscu kultu. Widzi pan, w cywilizacji azteckiej uważano wyrywanie serca za czynność świętą. W Domu Naukowca jest taniej. My nie. Albo niech pan weźmie rasizm. Nie ma żadnych racji za ani żadnych przeciw, co?

– Jednakże miłuj bliźniego swego jak siebie samego.

– O, jest pan wierzący – ucieszył się. – Ja wynajmuję mansardę.

– Trudno jest mi tak od razu powiedzieć.

– Ale widzi pan, człowiek siebie samego może nienawidzić. A Kodeks Hammurabiego z tym jego „oko za oko”, sam gotuję, czasem wpadnę do restauracji. Albo na przykład ludożerstwo...

Ławka zaskrzypiała, poczułem ostry zapach perfum. Odwróciłem się, twarz miała trochę może i upiorną, ale to tylko dlatego, że pokrytą grubą warstwą pudru za jasnego, nawet w półmroku zaczepiały pociągnięte szkarłatną szminką usta. Przed sobą, na pulpicie ułożyła wygodnie dwa obwisłe balony, między nimi naszyjnik z pereł. Na gołych ramionach wystawa dobrze zaopatrzonego sklepu jubilerskiego. Była i gruba, i stara.

Popławski wzrokiem obojętnym po niej przesunął i tak dalej mówił:

– Czy mamy prawo zjadać bliźniego swego? A tu znów nic nie przemawia za tym, żeby zjadać, ani też nic za tym, żeby nie zjadać.

Włosy czarne, jak się należy, przedziałkiem rozdzielone, zakręcały się na czole w dwa rożki.

– Zależy to od zapotrzebowania na proteiny po prostu, ja odżywiam się bardzo racjonalnie.

– Zamyślił się. – Widziałem takich przed laty, którzy jedli, i to z apetytem. Ukaraliśmy ich przykładowo, niestety, niewiele to pomogło, skoro nie odstraszyło innych śmiałków. Ale, ale – uśmiechnął się – właśnie, czy ja mam rację mówiąc: „niestety”? Ha, ha... Sam pan widzi, jaki jestem w tę całą cywilizację bezsensowną uwikłany. Ach, wyzwolić się z tego wszystkiego. Przekroczyć.

Powieki miała pociągnięte tuszem błękitnym. Popatrzyła i nagle wydało mi się, że coś jak gdyby porozumiewawczo oko zmrużyła, ale nie, musiało mi się tylko zdawać.

– Na dobrą sprawę – rozmyślał sobie Popławski – tęsknota za wielkością, za nadrzędnym porządkiem moralnym to jest właśnie dążenie do Boga. Bóg jest dla mnie w zasadzie sprawą obojętną, ale czasami myślę, że istnieje i że dążenie do Boga jest najwspanialszym powołaniem człowieka.

Odwróciłem się, to niesamowite, ławka za nami była pusta.

– W tym manifestuje się to, co jest w człowieku najczystsze, bo jeśli Boga nie ma, to dążenie pozostaje. Nawet jeżeli transcendencja jest pusta, to poprzez nią objawia się autentyczny człowiek w człowieku, co się pan tak rozgląda?

Nagle zrobiło mi się trochę chłodno.

– Ktoś ma przyjść po mnie.

– Kobieta? Jak pan chce, właśnie faszyzm był tragiczną omyłką, bo oparł się o władzę jednego narodu. Ale było coś w tym ruchu, ta tęsknota do utrwalenia jednej hierarchii moralnej, tyle że – skrzywił się – wszystko się zepsuło, bo wplątała się w to domieszka snów niemieckiego drobnomieszczaństwa, które chce mieć ogródek, kocha te swoje bezsensowne Niemcy i marsze. – Przeciągnął się, głową smutno pokiwał, zapisał swój adres i wszystkiego najlepszego życzył.

Cesarowi dzień musiał się udać. Uśmiechnięty, wypoczęty siedział sobie w fotelu, a za nim mapa świata z czerwonymi chorągiewkami, tam gdzie mu handel szedł najlepiej, a przed nim pióra i złote, i srebrne, i oprawione w skórę kalendarze: czerwony i zielony drugi, telefonu dwa, pudełka z cygarami dwa, i pełne, i otwarte.

Na środku pokoju coś pomiędzy fontanną a akwariem. Po pas zatopiony w wodzie siedział Murzynek z granitu i trzymał się za szyję łabędzia, a ptakowi z dzioba leciała woda. Murzynek krzywił się, jakby go coś bolało, i wyglądał mizernie, łabędź był pięknym, tłustym okazem. Dookoła pływały welony czerwone, ryby złote, trupie główki z rodzinami, dla efektu podświetlone na dnie ukrytym reflektorem. Pod ścianą biblioteka, na półkach górnych Pascal, Mahomet i Boccaccio oprawieni elegancko, niżej Zola w skórze czerwonej, Dante z Szekspirem w białej nakrapianej. Książki mieniły się pięknie i sprawiały wrażenie, że dobrano je kolorami do ryb. Kurz sączył się z nich tak łagodnie, jak opadała witaminowa mączka na dno fontanny. Na najniższej półce stali laureaci Nobla równym rzędem. *Quo vadis* obciążony był na biało. Pokazałem palcem.

– O co chodzi? – zapytał Cezar przez Natalię.

– Polak – przetłumaczyła Natalia.

Poklepał mnie po ramieniu, czy go znam, zapytał.

– Tak – przetłumaczyła Natalia, która trzymała ze mną.

– Od czego zależą u was honoraria za książkę?

– Od tego, czy gruba. – Zazaczyłem, że piszę same grube.

Ożywił się, wziął mnie na bok.

– Zbieram już tylko laureatów Nobla – szepnął – Bo reszty tego chlamu nie warto.

Natalia przetłumaczyła, ze swej strony przyobiecałem:

– Jak tylko Nobla dostanę, książkę przyślę. – Chyba zrobiłem wrażenie jak najlepsze, bo gorąco mnie uściskał.

– Jest niespodzianka – mówi.

Popiliśmy kawę koniakiem, zrobiło się ciepło i przyjemnie, a i głowa obracała się na karku jak należy. Natalia uczyniła przerwę uroczystą i tak zaczyna: postanowili z Cezarem podarować mi komplet ubraniowy swojego projektu.

– Nie, nie mogę przyjąć – odpowiedziałem.

– Dlaczego niby? – zmartwiła się.

– Bo nie – (tanim prezencikiem myślą się wywinąć) – nie mam ja zwyczaju ubrań od kobiet przyjmować, jako że jestem mężczyzną-Polakiem – zaplątałem się, bo już taki komplet na Cezarze widziałem (jakbym miał komu sprzedać, tobym i wziął).

Natalia spoważniała. Czy chcę ich oboje z Cezarem obrazić, zapytała. Owszem, chciałem ich obrazić, tyle że nie było mnie na to stać na razie. Wciągnąłem więc wdżianko i spodnie w kolorze buraka z rozrzutnym srebrnym stebnowaniem i dyskretną różyczką niewiele od kalafiora większą i rozchylającą płatki na wysokości płuc.

Pochwalono mnie, windą zawieziono, do samochodu wepchnięto, sen mnie morzył, ale jedziemy. Wsiadamy, patrzę, aż tu nic, tylko znowu Champs-Élysées. Chodzą Francuzi po ulicach pod parasolami, a jeden, najmłodszy, koszulę rozpiął, do tyłu się przechyla, ale nie

wywraca, tylko pije z butelki. Nagle chuch mu się zajmuje i ogniem zionie. U nas człowiek może sobie bezpiecznie noc całą Nowym Światem z dowodem osobistym w ręku spacerować, a tu co poniektórzy klaskać nawet zaczęli, a on się kłania. U nas trudniej jest się wybić. Chodzi między Francuzami i zbiera pieniądze. U nas dostałby co najwyżej parę razy pałą, w formie upomnienia z ostrzeżeniem. Gdzieś idziemy. Portier się kłania, kelner się kłania, stolik zarezerwowany, jak najbardziej, i od razu „zyg, zyg, zyg toujours” – zaśpiewały dwa pedały.

Roześmiałem się, a na to Lubow tłumaczy szeptem, żebym uważał, bo tu nie ma żartów (ciągle szeptem) i jest danger, gangsters, killers i homosexual aggressiv, jakbym był przyjeźdnym ze wsi i nie wiedział, że wszędzie, gdzie się wchodzi o pierwszej w nocy do lokalu, można dostać nożem, młotkiem, bagnetem, mojką, kastetem. Pijemy wino, tańczą pedały, nic się nie dzieje.

Aż dopiero Cezar klóci się rachunek podliczając. Sięgam elegancko do kieszeni, ale ja już tu nie pierwszy dzień całuję, nawarstwiam, myślę, że mogą przyjąć pieniądze, i rękę zatrzymuję. W samochodzie od razu zasnąłem. Obudzili mnie przed windą, zaciągnęli na górę. Ona do mnie, a ja: – Słuchaj – mówię – co jest konkretnie – zapytuję – ja dla ciebie życie sobie zburzyłem i to nie po to, żeby się teraz obijać po jakichś kabaretach z pedałami. Kabaret to ja miałem przez trzydzieści lat, rozumiesz mnie?...

– Non – powiedziała Lubow, i do mnie.

– Non – odpowiedziałem i zasnąłem rozżalony.

Wychodząc zamknąłem ostrożnie drzwi. Metro odnalazłem bez kłopotu. Kupiłem bilet pojedynczy, niech się martwią, jak rano mnie nie znajdą. Sam w obcym mieście, bez języka, bez pieniędzy (pieniędzy troszkę to ja miałem, ale oni nie wiedzieli). Wysiadłem dobrze, sklepy otwierano, śmieci wymiatano, na okładce magazynu uśmiechała się goła baba z bombką świąteczną między nogami, chociaż do świąt daleko. Dom Naukowca miał wdzięk opuszczonych koszar. Na wartowni cię spał odchylony na krzesło do tyłu. Drzwi otworzyłem. Z daleka dolatywał gwar głosów, idę, ale z toalety damskiej wynurzyła się dziewczyna, posuwała się z elegancją (lekkim skosem), wyglądało, że dzień zaczął jej się pomyślnie od sety. Ale zakołysała takim cycem, że inne myśli zeszyły na plan drugi.

Popatrzyła ze swojską czujnością.

– Przepraszam, czy pani jest może Polką? – zagadnąłem uprzejmie.

– A bo co? – odparł z godnością cycofon.

– Nie ma się o co obrażać. Jest to piękny kraj z pięćsetkilometrowym dostępem do morza, ponadto szukam docenta Dłubniaka.

– Poszły z Marciniakiem na stołówkę – machnęła ręką i ruszyła skosem w stronę schodów.

Minąłem dwie postaci w szlafrokach, człapały w stronę schodów do piersi czajniki przyciskając. Przy pierwszej kuchence smutny, chudy mężczyzna, w garniturze czarnym i białej koszuli bez krawata, mieszał kawę w rondelku. Z boku usłyszałem głośnie uderzenia i zobaczyłem barczystą sylwetkę docenta Dłubniaka.

Uśmiechnął się na mój widok – otwierał właśnie młotkiem i nożem wieprzową konserwę z Polski – miał lekko opuchniętą twarz i małe, czujne oczka naukowca.

– No i jak tam Paryż? – mrugnął. – Jakiś taki, co?

– O tak – odmrugnąłem. – To na pewno.

– Ale coś w tym mieście jest, co?

– O, z całą pewnością jest to wszystko. Tylko... wie pan.

– O, to oczywiście – pokiwał głową. – Jak najbardziej.

– Właśnie.

– Cieszę się, że mamy podobne doznania i przemyślenia. Zresztą, co w tym dziwnego? Obaj jesteśmy Polakami. Kto raz pił wodę z Wisły, temu, wie pan... Poznajcie się, panowie –

przedstawił mi chudego mężczyznę z rondelkiem. – Mój współlokator, doktor Marciniak, ekonomista. Píše pracę *Polityka skarbowa a imperializm*.

Uścisnęliśmy sobie dłonie, puszka ustąpiła, docent Dłubniak zaczął cienko chleb kroić.

– Nie widzieliście panowie mojej Ulung? – okrągłutki, różowutki od pierwszej chwili sprawiał sympatyczne wrażenie.

– Do kogo ta mowa, Magistrze? Akurat pan miał herbatę – splunął Dłubniak.

– Bardzo mi przykro – obruszył się młodzieniec. – Miałem całą puszkę. Przepraszam, pan pozwoli. – Uścisnął mi rękę. – Jestem historykiem. A pan świeżo z kraju?

– Jeśli już o to idzie, Magistrze, to ja też mam do pana jedną kwestię, a nie widział pan czasem boczkę Marciniaka?

– Ja?

– Pan, pan się wczoraj wieczorem przysiadł.

– Pan docent chyba żartuje.

– Iii... Tak się tylko pytam, wiadomo, jak kamień w wodę.

– Co tam nad Wisłą? – zagadnął Magister.

– Przepraszam, przyniosę cukier. – Dłubniak podszedł do szafki z karteczką „doc. Dłubniak”, oznaczonej numerem 11, przekręcił klucz, rozejrzał się, wyjął torebkę.

– A pan długo jeszcze tutaj? – zagadnąłem doktora Marciniaka.

– Dłubniak to kanclerska głowa – zamyślił się smutno. – On trafił temat. Píše pracę *Ahumanistyczny charakter zakładów zamkniętych w państwach kapitalistycznych, na marginesie teorii przymusowej alienacji*.

– Taki dobry temat?

– Panie kochany, jego nigdzie nie chcą wpuścić, do żadnego zakładu, nie może zebrać żadnej dokumentacji, będzie tu siedział latami.

Dłubniak wrócił z cukrem i począł zaparzać.

– Pan myśli, że wieprzowina dobrze idzie na zimno z chlebem? – zamyślił się Magister. – To jest niezdrowe na wątrobę.

– To pan będzie miał zdrową wątrobę.

– Przecież wcale nie chciałem pana prosić. Za tydzień dostaję paczkę z kraju. Pytam się, ponieważ pana cenię. Mogę panu nawet powiedzieć, że dzisiaj jest przy ulicy Pépinière.

– Co jest przy ulicy Pépinière? – zapytałem.

– Budka telefoniczna – wyjaśnił Marciniak.

– Jaka budka?

– Zepsuta – Marciniak wskrobywał dno rondelka.

– Ile to przystanków metra? – zapytał Dłubniak.

– W pół godziny pan jest, jak nic – odparł Magister.

– Trochę daleko – zastanowił się Dłubniak.

– Jak zepsuta, to o co chodzi? – zapytałem.

– Można dzwonić za darmo do kraju. Nie połyka monet, a łączy. Magister podniósł się i podszedł do siwowłosego mężczyzny o wyglądzie senatora, ruchem miarowym obierającego jabłko.

– Wiecie, panowie, poznałem Popławskiego.

– O, to jest bardzo interesująca osobowość – pokiwał głową Dłubniak. – Gdzie go pan spotkał?

– W Notre-Dame.

– No tak, to postępowy katolik. Dużo podróżował na Wschód. Doktorze, nie wyskoczyli-byśmy się przejść z kolegą, przy okazji, chleb się kończy...

– U mnie jest taka sytuacja, że chętnie się przejdę – zgodził się Marciniak.

– To jest, wie pan, charakterystyczne – wyjaśniał Dłubniak, kiedy szliśmy już uliczką wśród leniwie otwieranych sklepów i pozamykanych barów – że tu jest pełno sklepów pornograficznych, a pierwszy spożywczy dopiero na rogu. Nic więc dziwnego, że wszyscy kopulują przedmażeńsko, każdy z każdym.

– Może przysiadzimy na chwilę? – Marciniak zatrzymał się przy niedużej fontannie. – To jest świetna woda pitna, zimna, popić przyjemnie.

Popiliśmy z przyjemnością. Obok na betonie paru łachmaniarzy jadło długie, przyjemnie wyglądające bułki.

– Widzi pan, jak sobie sprytnie żyją? – ucieszył się Dłubniak. – U nas w domu woda niedobra, złe filtry czy coś tam.

– A może byśmy trzasnęli po piwku? – powiedziałem.

Dłubniak chyba nie usłyszał, bo mówił dalej:

– W Ameryce, opowiadał mi znajomy naukowiec, przed obiadem, tylko pan wejdzie do lokalu, podchodzi kelner i podaje każdemu gościowi dużą szklanicę wody z lodu. I znika.

– Bezpłatnie? – zamyślił się Marciniak.

– Oczywiście. I ten mój znajomy wypił sobie wodę, bierze kartę, czyta i wie pan co? Powiedział, że mało go szlag nie trafił. Za zupeć miał zapłacić w przeliczeniu sto dziewięćdziesiąt złotych. A wcale nie taki pierwszorzędny lokal. Wstał, proszę panów, i wyszedł.

– Za wodę mu nie policzyli?

– Mówiłem, że nie. Woda z lodu jest bezpłatna, to sobie tamtejsze społeczeństwo wywalczyło.

– Ja panów zapraszam – powiedziałem.

– Co pan na to, doktorze? – spytał Dłubniak.

– U mnie jest taka sytuacja, że chętnie bym się napił.

– Bo wie pan, my tu już długo siedzimy, pan rozumie.

– Tylko że gdzie pójdziemy? Panowie na pewno znacie jakieś miejsce.

– No cóż, wie pan, my, prawdę mówiąc, dużo nie bywamy, staramy się w domu, raczej na własną rękę.

– Można by na krąg taneczny – zastanowił się doktor Marciniak. – To jest takie miejsce, gdzie wchodzi pan do baru i są takie okrągłe estrady. Siada pan dookoła i zamawia piwo, a tam tańczą rozebrane do naga kelnerki. Pije pan piwo, ona tańczy i abarotno. Tyle że tam jest bardzo drogo i ja nie wiem, gdzie to jest.

– To może tu? – pokazałem kawiarenkę ze stolikami na ulicy. – Trzaśniemy i pójdziemy dalej.

Zamówiłem trzy piwa.

– My panu za to w ojczyźnie, niech pan się nic nie boi – powiedział z uczuciem Dłubniak.

– Z drugiej jednak strony dodają za darmo orzeszki i słone paluszki na kręgu.

– Tu też jest bardzo miło – pocieszyłem Marciniaka. – Czy do Sekwany stąd daleko? Panowie, mam taką prośbę: zrobię jeszcze trzy piwa i chodźmy posiedzieć nad Sekweną.

– Dlaczego nie? – zgodził się Dłubniak. – Można posiedzieć.

Do rzeki było blisko. Zeszliśmy na brzeg. Woda pluszcze, słońce przygrzewa. Naukowcy zdjęli marynarki.

– Wytruli ryby – mruknął Dłubniak. – Nikt nie łowi – przeciągnął się.

Było pusto, ale przyjemnie, za nami huczały samochody. Zdjąłem koszulę, podłożyłem pod głowę i wyciągnąłem się na kamieniach. Milczeliśmy przez chwilę, nagle Marciniak krzyknął:

– Burżuazjo, zdechniesz!

– Pan jest napity – zaniepokoił się Dłubniak.

– Niech panowie sami popatrzą.

Odwróciliśmy głowy. Rzeczywiście, na kamiennym murku ktoś wymalował coś okrągłymi czarnymi literami.

– To oznacza: Burżuazjo, zdechniesz – przetłumaczył Marciniak. Robiło się coraz parniej. Dłubniak skądś wiedział, że basen kosztuje pięć franków, i poszliśmy zapoznać mnie z miastem.

– Tyle że wie pan, co pan tam teraz zobaczy! Życie zaczyna się pod wieczór. Najlepsze kurwy teraz śpią albo się opalają. Wie pan, ciekawa rzecz – ożywił się – niektóre przyjeżdżają sportowymi Mercedesami, dwie na przednim siedzeniu, a z tyłu pedały. Ohyda! A poza tym są strasznie drogie. Nie podoba mi się to hasło – zwrócił się do Marciniaka.

– A dlaczegoż by i nie?

W niektórych barach siedziały już jednak na stołkach tupeciary, piły, patrzyły na ulicę, na nas, ale jakby bez zapału, za wcześniej albo co.

– U nas jest wszystko dużo taniej. Zwłaszcza że pedały zaniżają ceny.

– A jak to się kształtuje? – zainteresował się Marciniak. – Pytam z naukowego punktu widzenia.

– Biorą sto, sto pięćdziesiąt, a za pedałstwo sto osiemdziesiąt pięć – odpowiedziałem.

– Popatrzcie, panowie, na tę – Dłubniak ściszył głos.

– Ma ładną cerę – zauważył Marciniak. – Dlaczego się panu nie podoba to hasło?

– Bo kto za tym pójdzie?

– Dlaczego mają nie iść?

– A co by pan chciał? – skrzywił się Dłubniak.

– A bo co, pan by nie chciał?

– Hasło musi być dynamiczne, choćby: „Klasa pracująca kierowniczą siłą narodu”, za tym by ludzie poszli.

– Za tamtym też byli poszli.

– Ale nie ci, co potrzeba. Tak patrzę na, was, Marciniak, i tak sobie myślę... i tak sobie myślę...

– Panowie – zaproponowałem – napijcie się jeszcze czegoś?

– U mnie jest taka sytuacja, że jeżeli, to piwo.

– Nie możemy pana na to narażać – zmartwił się Dłubniak. – Czasami jakby była u was jasność, a czasem... Marciniak.

Już się o mnie niepokoją. Muszą niepokoić się, handlarze, przetrzymam ich do wieczora, a co... Zamówiłem trzy piwa. Albo będę miał dużo pieniędzy, albo nic. Nie będę ciulał. Ciekawe też, po ile to piwo. Zaraz, a może by...

– Przepraszam panów – podniosłem się. – Muszę na chwilę do toalety.

Obaj podnieśli się natychmiast i wyrazili chęć towarzyszenia mi. Aha. Widocznie pomyśleli, że dam nogę.

– Powinno być „naprzód” albo na początku, albo na końcu. Albo „za”. Albo „za”, tutaj hasło i „naprzód”, albo też odwrotnie „naprzód” i „za” – przestraszył się Marciniak.

– A policja nie ściera takich haseł? – zapytałem.

– Idź pan z tą policją tutejszą!

– Bo rządu nie ma silnego, oświeconego i kierowanego od góry.

– A te hasła to wszystko sztafaż. Studenci, proszę pana, nie uczą się, tylko hałasują. Nie ma ani filmów, ani książek o tematyce społecznej, gazeta, proszę pana, żywi się padliną, dla sensacji poda nie uzgodnioną wiadomość, pesymizm, marihuana...

– Bo za dużo u nich pieniędzy, a za mało idei – dodał Marciniak. – Mnie się wydaje, że to się bierze z tego.

– Gdyby byli bardziej opodatkowani, toby im na państwie bardziej zależało, jakie ono jest, a tak, proszę pana, patriotyzmu, jakichś ludzkich uczuć ani na lekarstwo – pierwszy skończył Dłubniak.

Zapięliśmy spodnie, dałem franka i wróciliśmy do stolika. Piwa nikt nie nadpił.

– Policjantów – rozpoczął Dłubniak – oni przedstawiają przebiegle jako dobrych, a społeczeństwo jako złe. To jest niesłuszne z naszego punktu widzenia. Powinno być dobre społeczeństwo, utrzymywane w ryzach przez policję złą i skorumpowaną. Natomiast u nas... – przerwały mu klaksony samochodów.

Blokując uliczkę, między rzędami zaparkowanych samochodów posuwał się pogardliwie biały Cadillac, szofer w sztywnym kaszkiecie, dach podniesiony, z tyłu pobłyskiwała złotem i brylantami starucha z ogromnym dekoltem. Miała może trochę więcej biżuterii i pod pachą psa wielkości dużej żaby, ale to z całą pewnością była ta sama osoba, którą widziałem w Notre-Dame.

– Każda własność prywatna jest przywłaszczeniem i kradzieżą – westchnął skromnie Dłubniak i pociągnął piwo.

Piesek był dziwnego koloru, patrzył bystro małymi oczkami.

Parę metrów od nas wysiadła i zakotyssa odsłoniętymi balonami. Psa wsadziła sobie pod pachę.

– Człowiek sobie ręce urabia, a taka ma wszystko. Obok my, młode, świeże siły, ginące bez wsparcia. Ten widok dławi mi umysł i duszę. Ale rozliczymy ją jeszcze, co, doktorze?

– O ile ona dożyje – zamyślił się Marciniak. – Chociaż cyc ma jeszcze niezły.

Cadillac wolno posuwał się koło niej, nie zwracając uwagi na ujadanie Peugeotów, Fiatów i Citroenów. Na tablicy rejestracyjnej błysnął napis „California”.

– Pan jej przypadkiem skądś nie zna?

– Dlaczego?

– Zdawało mi się – powiedział Dłubniak – jak gdyby zrobiła do pana oko.

Zadrzałem, bo mnie też przez chwilę wydawało się, podobnie jak w Notre-Dame, że starucha mrugnęła porozumiewawczo. Jeżeli widział to Dłubniak, to może... ale nie... to jakiś idiotyzm.

– Dobra, dobra, trzeba wracać – podniósł się Dłubniak. – No! Kupimy bułkę i wracamy. Pan nawet nie wie, jak ja nie lubię tu kupować, zwłaszcza w tych dragstorach. To jest Orwell.

– W jakim sensie?

– No wie pan, te kamery w sklepach... Kiedyś Magister wziął przez pomyłkę jedno pudełko żyłek więcej, proszę pana, trzy sztuki, i wie pan co? Zatrzymali go, poniżyli moralnie i mało tego, kazali zapłacić.

– No i jak, Marciniak? Ruszamy się?

– U mnie jest taka sytuacja, że ja się upiłem – zauważył posepnie Marciniak.

– Chodźmy, doktorze – pociągnął go Dłubniak. – Tak, tak, to trzeba przyznać. Mnie to miasto, wie pan, pobudza, czuję się ożywiony, rozumie pan? Co?

– Nie będę do nich dzwonił – powiedziałem – co?

– Szkoda tylko, że to wszystko jest takie jakieś, co? Trzeba ich nauczyć. Jak my ich nie nauczymy, co?

– „Miła moja, ja cię kocham” – zanucił Marciniak.

– Jakby coś, niech pan przychodzi do nas, do naszego domu. Znajdzie pan życzliwe serce i przyjazne ręce do pracy. My, jajogłowi, musimy trzymać się razem, właśnie dlatego, że nikt nas nie lubi.

– Nikt nas nie lubi – przytaknął Marciniak opierając się o mur.

– Z naszą dociekliwością i nonkonformizmem stanowimy niebezpieczeństwo dla każdego rządu.

– Nikt nas nie lubi – Marciniak spróbował usiąść na chodniku. Ale docent trzymał go mocno.

– W zasadzie w Polsce doktor miał mocną głowę, ale tu już od roku nic nie pił. Powinien odsapnąć. Nie martwcie się, Marciniak, może się jeszcze coś poruszy i dostaniecie docenta.

Popławski mieszkał na piętrze szóstym, wejście schodami kuchennymi, zlew i kibel w korytarzu. Wynosiło mnie na zakrętach schodów, dobre piwo, oko w judaszu, gospodarz otworzył w koszuli rozpiętej.

– Ach, to pan... Świetnie, świetnie... Proszę, proszę, prymityw, ale fotele wygodne, łóżko szerokie – (zapraszał) – strych właściwie, okno nieuszczelne, czym można pana poczęstować?

– Trochę piłem z pana przyjaciółmi.

– Z moimi przyjaciółmi?... Kto?... Może trochę się pan jednak napije? Przepraszam, że nie pozamiatane, ach, Dłubniak i Marciniak! No, między nami mówiąc, to zupełnie prymitywy. Nic nie rozumieją. Są wierni i oddani, ale nic z tego nie wynika. Marciniak to – rozejrzał się – po prostu kmieć, od gnoju wyszedł i do gnoju powróci. Ta mansarda to połączone chambres de bonne. Na tym samym piętrze jeszcze jeden Polak mieszka, w pana wieku, podoba się panu ten obraz, dostałem od przyjaciela, no to za powodzenie pana planów w Paryżu! Przepraszam, ktoś puka. Ach, państwo się znacie!... tym lepiej... Widzieliście się w domu naukowca. Siadaj, Stefa, na tapczanie i nalej sobie.

Cycofon wyglądał na zadomowionego.

– Wie pan, te owieczki na obrazie we mgle ładne, prawda? Lubi pan zwierzęta?

Powiedziałem, że lubię zwierzęta. Wtedy na kolana wskoczył mi kot, tłusty, czarny, mruczał leniwie, przyglądał się.

– Mam także zółwia, jest pod łóżkiem... Człowiek... trudno mi o ludziach powiedzieć coś dobrego, jest z natury zły, spaczony, wesz.

– Można jeszcze polać, panie docencie?

– Lej, Stefa.

Nalała do pełna i spytała: – A dzieci, panie docencie, co one?

– Dzieci to, prawdę mówiąc, kanalie. Pijcie, pijcie, mam jeszcze parę butelek wina, proszę, jest i ser, a jakże.

Pokój łagodnie falował, i w górę, i w dół. Zamknąłem oczy, ale było gorzej.

– Wie pan, co opowiadał mi pewien lekarz? Że kiedy operuje, to w chwili rozcinania ludzkiego ciała czuje jakiś rozkoszny dreszcz, ciach, ciach! Nie śmiej się, Stefa, to coś więcej niż orgazm. Każdej kurwie pan brzucha nie otworzy. Tak, tak – zamyślił się. – Człowiek dąży do wygod konsumpcji i dlatego się degeneruje. Tak było z Rzymem, tak było i z Polską. Dlatego, żeby istniał w ogóle ten gatunek, trzeba go wziąć w ryzy. Trudno, mój młody kolego, za wszystko się płaci – posmutniał z nagłą. – Najbardziej śmieszają mnie humaniści zawodowi. Nie ma cywilizacji nie opartej na masakrze. Tortury są po prostu nakazem rozumu. Uważam to za smutną konieczność i osobiście bardzo nad tym boleję.

– Można jeszcze polać? A naprawdę niewinny kto?

– Oczywiście, Stefa. Zwierzęta!

– Pan docent to jest ktoś. Taki Dłubniak albo Marciniak to by tylko człowieka kotłowały, a skąpi jak diabeł.

– A pana plany? – spytał Popławski.

– Mam kłopoty z dziewczyną.

– Tutejsza? – Stefa wydlubała korek z następnej butelki.

– Uczucie – uśmiechnął się Popławski – i kobieta. Oczywiście to bardzo piękne, nawet nadzwyczaj, ale do tego potrzebne jest losu kuszenie, zagrożenie, patetycznego coś, ostatecznego. Słyszał pan o takiej rzeczy, jak karna kompania? Tam życie nie dłuży się nikomu. To

niech pan sobie wyobrazi kapitana, powiedzmy, lat czterdzieści, mężczyzna piękny, odważny, zamyślony, wykształcony. Goethego cytuje. Aż tu pojawia się w jednym z plutonów chłopak osiemnastoletni, smukły, włosy jasne, oczy błyszczące. Za co się tam dostał? Mniejsza z tym. Powiedzmy, przedtem się przestraszył i do ataku nie poszedł. Albo ukradł coś: jedzenie, koc, bo, szczuplutki taki, marzył.

– Czy u pana jest telefon?

– Kapitan zwraca na niego uwagę. Zaczyna go drażnić chłopaka strach, niepewność, rozlazłość.

– Można jeszcze poleać?

A jakby zadzwonić i odłożyć słuchawkę – dobra myśl. To by ich jeszcze zdenerwowało.

– A chłopak kapitana drażni, bardziej jakoś, niż powinien. Chłopak coraz bardziej się gubi, kapitan wreszcie wzywa go do siebie wieczorem, do lepianki. Każe usiąść. Pali się lampa naftowa, czujecie ten nastrój, słyszeć huk dział. I kiedy chce surowo przywołać go do porządku, widzi, jak tamten dziecinnym ruchem odgarnia jasne włosy z czoła i mruży oczy, bo późno już, chce mu się spać, i oto oficer nieoczekiwanie wyciąga z szafy butelkę zdobytego gdzieś rumuńskiego koniaku, do porcelanowych kubków nalewa.

– Majseny są najlepsze.

– Mówi o samotności, pogodzeniu z losem, przemijaniu.

– Gadka szmatka. Dłubniak mi taką zakładał, ale go pogoniłem.

– Potem kładzie mu rękę na ramieniu, w oczy patrzy, a oczy się chłopakowi łzawią, bo tak łagodnie i pięknie nikt do niego nie mówił. Więc kapitan też poruszony otacza go ramieniem, szepcze czule słowa otuchy.

– Ten Magister z pierwszego piętra też pedałuje. Ale nie z przyczyny charakteru, tylko dlatego że go żona rzuciła.

– Rano budzą się przytuleni koło siebie, nieśmiało próbują odnaleźć gesty wczorajsze. Potem chłopak odchodzi, ale koledzy patrzą już na niego inaczej. Bo jest walka, giną ludzie, ale on nie ginie, a kapitan go oszczędza. Aż jeden szeregowiec przy obiedzie: „Uważaj, jak jesz – mówi – bo pogubisz kartofle.”

– Cha! Cha! – roześmiała się Stefa.

– Tak oto chłopak zaczyna kapitana nienawidzić, boi się śmierci, ale zgłasza się sam, ochotniczo, na rozpoznanie.

– Z głupoty albo przez ambicję – ziewnęła Stefa. – To ja się kładę. – Zaczęła ściągać przez głowę sweter. – Panowie nie?

– Kapitan prosi go, pieści, płacze, wreszcie po prostu nie pozwala iść, chłopak robi mu scenę, wygraża, też płacze. Potem zajmują jakieś miasteczko – kobiety tam były, kilku żołnierzy gwałci je, on jest jednym z nich. Właściwie trudno to nazwać gwałceniem, te kobiety rozkładają się same. Ale on chce gwałcić, bije je, przeciw kapitanowi. Ten daje mu parę razy w pysk, przy wszystkich, ale nie wyciąga konsekwencji żadnych. Tamten zresztą przestraszył się, trochę mięknie. Znowu jest między nimi dobrze.

Stefa równo oddychała w łóżku. Popławski otworzył nową butelkę. Wypił, rozejrzał się, zamyślił i dodał:

– A było to wszystko oczywiście w armii francuskiej.

– A jak się skończyło? – spytałem z uprzejmości.

Popławski podrapał się po gęstym czarnym zaroście na piersiach.

– Wojna się skończyła – powiedział. – Kapitan ocalił mu życie. Jeżeli pan chce, może się pan tutaj przespać.

– Nie będę przeszkadzał?

– Ale skąd, cóż my, ludzie bezdomni... Stefa jest osobą dyskretną.

– To może tak. – (Nie wrócić na noc, to już coś).

– Może się pan położyć.
– Ale co mi pan radzi? W sprawie z tą dziewczyną.
– Przecież mówię o tym cały czas. – Popławski ściągnął koszulę. – Niestety, umywalka jest na korytarzu.

– Żeby co?

– Zachować godność. W każdej sytuacji można zachować godność. Być człowiekiem.

Jak Synek, kiedy Ważna Osobistość poszła do dołu. Odbył szczerą rozmowę ze swoją opiekunką, wyprowadził się, odzyskał porządek moralny i harmonię wewnętrzną. – Pamiętaj, Janek – powiedział wtedy – nie wolno odchodzić za daleko od moralności. Człowiek się nie czuje szczęśliwy i to się na dalszą metę nie opłaca.

A jeśli się już odeszło, trzeba umieć przyjąć cierpienie, jak nauczyciel, który przychodził kiedyś do Niedobitka. Potem okazało się, że był żonaty z własną córką, z którą miał dwoje dzieci. Pewnego dnia starsza z dziewczynek wyfrunęła z drugiego piętra. Wtedy napił się spirytusu metylowego i stracił wzrok. Zawsze zaczytywał się w dramatach greckich i był to z całą pewnością akt świadomy.

Popławski mył się na korytarzu.

– Ma pan tutaj koc i poduszkę. Zapomniałem panu powiedzieć, że ten chłopak go po wojnie zastrzelił.

– Po co?

– Bo już ją przeżył.

Jednemu się wiedzie w życiu, innemu nie. Kto mógł przypuścić, że Lizak zostanie dzielnicowym, pójdzie do wyższej szkoły milicyjnej, może nawet przejdzie do dochodzeniówki. Jeżeli mam mieszkać w Warszawie, to lepiej mieszkać w Paryżu. To by było proste.

Wszystko się na początku zgadzało. Dom się zgadzał, pieniądze się zgadzały. Potem nagle ojciec sprowadza nocą kurwy, matka romanse śpiewa, córka, która w Warszawie patrzyła w niebo gwiazdziste i na mnie ze łzami w oczach, śnieg do czoła przykładła, głowę do drzew przytulała, a i pohukiwała, okazuje się cwana gapą. Można by przez zaskoczenie kupić jej kwiaty, dużo kwiatów, żeby w niej się coś odezwało, coś ludzkiego, serdecznego. Bardzo są te kwiaty drogie, ale przecież nie o ten szmal chodzi. To znaczy jednak trochę o niego chodzi, bo przez to piwo pieniądze jakoś bardzo się skurczyły.

Dałem spokój z kwiatami i w ogóle nie błądząc, dom Lubow znalazłem, wjechałem, zadzwoniłem. Ucieszyła się, pocałowała mnie w policzek, i nic, żadnych ludzkich uczuć, nawet na lekarstwo, ojciec mrugnął, po plecach poklepał – na niego zresztą nie liczyłem, był to bowiem człowiek zepsuty do szpiku kości, jedna Natalia zaczęła wypytywać, ale oni jej nie słuchali, więc nie było po co odpowiadać, i tyle wynikło z mojego zniknięcia.

Zobaczyłem Ryśka, jak stał zamyślony, przymknął oczy, ludzie przechodzili obok niego, a on sprawiał wrażenie, jakby nikogo nie widział. Nie była to zupełna prawda, bo kiedy starałem się go ominąć, za rękę mnie złapał.

– Ulica Saint-Martin – powiedział. – Tu zginął mały gavroche. Tu stała barykada. To ta dupa? – pokazał głową Lubow. – Trochę chuda. Na tym placu Wiktor Hugo pisał *Nędzników*. Wszędzie tłoczą się tu literackie duchy. Tygiel jak u nas w *Kordianie*. Zresztą chude są ostre.

– To twój przyjaciel? – ucieszyła się Lubow.

Zacząłem kręcić, ale pod okiem Ryśka nie mogłem powiedzieć „nie”. A on podszedł do niej, głowę skłonił i powiedział:

– Pani pozwoli, je suis film régisseur polonais.

Jeszcze bardziej się ucieszyła i zaczęła namawiać, żeby przyszedł wieczorem na kolację, bo właśnie współpracownik Cezara, przemysłowiec włoski z żoną przyjechał. A i będzie także zaproszony (specjalnie) student, co to wiersze pisze, a tematyka w nich postępową, jak najbardziej, i wspólny temat znajdziemy. Rysiek zrobił duże wrażenie, bo zaczął się namy-

ślać, jakby nie mógł się zdecydować, przyjść, nie przyjść, co płynęło z tego, że nie rozumiał, o co chodzi, w końcu jednak zrozumiał i powiedział:

– Merci oui, merci oui, jak najbardziej.

– Kawał drogi, słabe żarcie – zniechęcam. – Poważnie chcesz wpaść?

– A jak – odpowiedział.

Dawałem Lubow jakieś znaki, ale nie mogła ich zrozumieć, albo i nie chciała, wręczyła Ryškowi wizytówkę i poprosiła, żebym mu wytłumaczył, jak dojechać metrem, to wytłumaczyłem mu najgorzej, jak mogłem, i wróciłem do domu pocieszając się, że nie trafi. Punktualnie przyszedł, za pięć siódma, spojrzał z sympatią na dziesięć gatunków sera, sałatki, ostrygi i krewetki, i takie różne. Lubow przedstawiła sławnego reżysera polskiego rodzicom i gościom. Pięćdziesięcioletniemu Włochowi o soczystych policzkach, jego żonie z grubym warkoczem włosów w koronę upiętych. Student miał twarz bladą, włosy afro, oczy postępowe. Rysiek wkroczył lekko przyprawiony (miał jeszcze wódkę z kraju). Jak tylko Natalia powiedziała coś po rosyjsku, spojrzał z zachwytem, wpół ją złapał i na oczach zdziwionego Cezara wyciągnął na taras. Goście zrobili głupie miny, ale Lubow się uśmiechała. Rysiek drzwi zasunął, przypadli na parę minut, uśmiechnięci wrócili, Natalia kręciła głową, mrużyła oczy: „Słowiańska dusza”. Rysiek poklepał Cezara, wypił szklanekę whisky, do wpatzonego w niego jak w tęczę młodego postępowca mrugnął.

Trzeba było powiedzieć jasno, nie chcę, żeby przyszedł. Co, w końcu, przyjaciel mój czy jak? Teraz za późno. Rysiek przyjrzał się mojemu garniturovi, gwizdnął. – No, no, niezła rzecz – powiedział, i od tej pory miał już Natalię za sobą. Wypiliśmy sporo, przelecieliśmy po sałatach, ostrygach, szynkach i do właściwego stołu. Z lewej miałem Lubow, z prawej Ryśka. Jako zupę podano mule. Wybierało się je skorupkami ze skorupiek, praca to była męcząca, już w połowie Rysiek powiedział:

– Ty jesteś ktoś i ja jestem ktoś, a to są wszystko zera.

Cezar rozmawiał z Włochem o interesach chyba. Natalia opowiadała coś żywo, może i o Ryšku, bo miała rozpromieniony wyraz twarzy. Rumsztyki wielkie pływały sobie w maśle, karczochy wyglądały dobrze, do tego wino i pieczone kartofle. Każdy jeden zawinięty w osobne sreberko.

– Podoba ci się ten śledź francuski? To bierz go – stuknął się ze mną Rysiek. Kryształki jęknęły, ale wytrzymały, Cezar spojrzał z niepokojem, ale zaraz zawstydził się i oczy odwrócił. – Matka jest też całkiem, całkiem, ale mnie się widzi, że twoje sprawy stoją źle, bo ty się skradasz, a tu nie ma tak, nie ma, trzeba ostro głową do przodu, być mężczyzną, nie bać się dupy umoczyć. To każda oceni, a nie myk, myk, taka sprawa. Znałem kiedyś jedną damę, zabieram się do niej, a ona mówi: „Zostaw mnie, mam syfa.” A ja jej na to: „I co z tego? Jestem mężczyzną.” I poszliśmy do łóżka.

– I co? Złapałeś?

– A jak!

Opróżniliśmy kielichy. Student pić próbował równo z nami, bladł, ale zaraz czerwieniał i od nowa bladł, ale trzymał się, trzymał.

Lubow magnetofon włączyła, śpiew popłynął murzyński. Cezar oświetlił akwarium.

– „Bo prawo murzyńskie jest czasami świńskie” – zanucił Rysiek i urwał. – Jednej rzeczy tylko żałuję w życiu – zamyślił się patrząc smutnie, jak Lubow dolewała nam whisky do szklanek. – To było parę lat temu. Organizacja się rypla, piłem wtedy ostro. Wiesz, szukałem jakiejś drogi.

– Synek miał też wtedy ciężki okres.

– Kto taki? Mniejsza o to, na pewno tak, pamiętaj jedno, że ci tutaj nic nie wiedzą, nie rozumieją i oni są po to, żeby tobie nadszakać, po to, żeby cię żywić. Ty się orientuj, to dla nich jest zaszczyt.

– Ja już piję trzeci dzień i jestem zmęczony.

– Po każdej flaszcze stawaj w otwartym oknie na dziesięć minut bez papierosa, masz tylko jeden organizm. A powiedz tak szczerze – nachylił się do mnie – na cholerę ci ona?

Leżeliśmy wygodnie w fotelach wielkich, tamci rozmawiali o obcych sprawach, muzyka grała. Zastanowiłem się i powiedziałem:

– A bo co?

– No na cholerę ci to wszystko, ten cały chłam! Pisarz musi pisać w swoim kraju.

– Mógłbym mieszkać pół roku tu, pół roku tam.

Student usiadł naprzeciwko, coś powiedział i napił się.

– Zobacz tego biedaka – rozczulił się Rysiek – kontestatora od siedmiu boleści, naiwniaczka. Zobacz, jakie toto wątłe, blade. I to chce robić rewolucję. Ale jest poczciwy, chce dobrze. No, napij się z nami, ty biedo, napij się.

Lubow usiadła koło mnie. Objąłem ją.

– Nie poniżaj się – powiedział Rysiek.

– Przecież i tak nie rozumie.

– Ty głupia, ty – potrząsnął nią Rysiek. – Kto cię tak będzie kochał? Wolisz być z tymi elegancikami, z tym frajerkiem? – pokazał studenta, który trzymał się resztkami sił. – My dwaj musimy trzymać się razem, w kraju i za granicą. We dwóch zawsze pogodzimy pozerków, zawodniczków, cwaniaczków, fryzjerków, pedałów. Kiedyś dostałem drugą nagrodę w konkursie o tematyce ochrony granic, nakręciłem łąkę, las, zachodzi słońce i przy ognisku mężczyzna, za plecami ma cień długi na całą łąkę.

Robiło się coraz parniej. Spadło kilka kropel deszczu, gdzieś daleko raz i drugi zagrzmiało.

– Graza idiot – powiedziała Natalia.

– Tak – kiwnąłem głową – będzie chłodniej.

Lubow zaprosiła mnie do tańca.

– Jeszcze czego – powiedziałem – po tym wszystkim? Zresztą dyskutuję z kolegą.

– Mój ojciec zginął w czasie burzy – posmutniał Rysiek.

– Od pioruna?

– Nie. Mieszkaliśmy wtedy na wsi. Piorun uderzył z trzydziści metrów od niego. Ojciec upadł ze strachu, a jest taki przesąd na wsi, że jak kogoś porazi prąd, trzeba go zakopać w ziemi. Bronił się, ale go zakopali.

– Ciemnota.

– Nie. Sąsiedzi go nie lubili. Pomyśleli, jest okazja.

Wziął Lubow za pierś i zaczęli tańczyć. Wtulił ją mocno w siebie, nie wyglądała na zmartwioną.

– Tego jednego żałuję w życiu, żeśmy się rozwiązali – powiedział kołysząc się z nią przy mnie.

Błysnęło, zaczął padać deszcz. Student, bladej bardzo, wzdłuż ściany do wyjścia sunął. Natalia po matczynemu go podparła, no i wyszli.

– Leci na mnie – zauważył Rysiek. – Wszystkie chude na mnie lecą, dlatego że mam dużo ciała.

– Niewykluczone – zgodziłem się. – Ale na nic trwałego bym nie liczył.

– Nigdy nie wiadomo. Ona musi mieć straszny szmal. Pamiętaj, Janek, jak najmniej rób.

– W jakim sensie?

– W sensie koło siebie. Im mniej ty robisz koło siebie, tym więcej inni muszą.

– Wszystko rodziców.

– Aha. – Rysiek pogłaskał ją po włosach i przytulił policzek do jej twarzy. – Jak tak, to ja sram na ich szmal.

Natalia wróciła, kiwając ze współczuciem głową. Rysiek zatoczył się na stolik lekko, kawę wylał. Podtańczyli do akwarium. Cezar niespokojny, krzywił się, zamamrotał. Lubow ramionami wzruszyła i już siedzi. Rysiek obok, nalał sobie, mnie i jej.

– O co się rozchodzi? – zapytał. – Coś wyczuwam.

– Zdaje się, że ma żal, żeś wywrócił kawę. Albo się boi o akwarium...

– Zaraz – powiedział Rysiek. – Ja tu jestem twoim gościem i nikt mi nie będzie nic mówił. Zaraz. Ja tu jestem gościem mojego przyjaciela Janka, pisarza z Polski, któremu wy wszyscy sięgacie potąd. – Tu pokazał, dokąd mi wszyscy sięgają, to nie było bardzo wysoko, grubo poniżej pasa.

– Daj spokój, Rysiek, nie denerwuj się, nie warto – pociągnąłem go za rękaw, ale wyrwał się i wstał. W rozpiętej na piersiach koszuli, ze wzburzonymi włosami, z burzą w tle wyglądał okazale.

Cezar zdenerwował się chyba, bo powiedział coś głośno do Natalii, pięści zacisnął, ale wymyślił wziąć się na sposób i w naszą stronę nową butelkę whisky wyciągnął.

– O nie – powiedział Rysiek, wziął, nalał sobie, wypił, dolał i odstawił flaszkę. – Tak nie będziemy rozmawiać. Jak było w czasie Komuny? Kto się tu za was narażał i ginał? A osłaniał odwrót Napoleona? A powstaniami odciągał od was Rosję i Prusy? A czyje ryngrafy, Sobieski za kogo, za czyje sprawy błonia zakwitały konnicą? Za kogo poszły szwoleżery, a najgęściej ginęły chłopcy? A szumiały orły chorągwiane? A Niemcy z góry, a my cały ogień na siebie. I nigdy, jak tu stoimy, ja i mój kolega Janek, wielki pisarz, o jakim wam się nawet nie śniło... Otóż chciałem wam powiedzieć, że jest taki drobiazg, że nigdy, ale to nigdy nam się nie wypłacicie ani jako narodowi, ani osobiście, wszystkimi waszymi małżami, ostrygami, sałatami, szampanami. Co wy wiecie? O życiu? O naszym pokoleniu? O Pstynie, Niedobitku, Głodomorze, Paskudzie, Szufładzie, Chuliganie, Psinie, Synku, Parowie, Parasolce, Paszczy! Będziecie zawsze dłużnikami. Był taki człowiek, który nazywał się Mickiewicz, który starał się wam coś o nas wytłumaczyć, zanim zginął za was w Turcji. I ja tu robiąc film, chodząc po tych grobach, relikwiach, porośniętych zielskiem i zapomnieniem, gardzę wami, rzucam wam w twarz nasze dumne: „Nie”. Powtarzam, nie wypłacicie się.

Zachwiał się i oparł na akwarium, zagrzmiało, błysnęło.

Cezar poderwał się, ale usiadł. Deszcz siekł w okna. Natalia nie tłumaczyła, tylko patrzyła z ogniem w oczach. Błady student wszedł do pokoju i włókł się wzdłuż ściany. Przemysłowcy z Włoch woleli się nie ruszać.

– A byliśmy mocarstwem, ale mocarstwem szlachebnym, jak się należy! Oto w zacnym ubiorze i złotej koronie siadł pomazaniec Boży na swym pańskim tronie – podniósł rękę do góry. – Miecz przed nim srogi, ale złemu tylko srogi. O to chodzi – zawiesił głos i dokończył: – Niewinnemu na sercu nie uczyni trwogi.

Rybki zawirowały żywiej, woda zabulgotała i dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że Rysiek leje do akwarium. Cezar jęknął, reszta siedziała jak zamurowana. Student spróbował śpiewać Międzynarodówkę, ale głos mu się załamał. Pisał: – Vive la Pologne – zanim osunął się na podłogę. Wtedy wydarzyło się to, co właściwie przewidywałem, że się może najgorszego wydarzyć. Rysiek wziął Lubow za rękę i wyszli z pokoju. Siedzieliśmy chwilę w zupełnym milczeniu. Student podniósł się do półprzysiadu, potem stanął i upadł koło mnie na fotel. Spróbował mnie pocałować, ale omsknął się po kanapie.

Natalia zaproponowała kawę, wszyscy zaczęli gadać, pewno prosili o wyjaśnienia. Wstałem. Zrobiło się cicho. Cezar zerwał się, zastawił sobą akwarium. Nie rozumiał, że na to nigdy nie pozwoliłaby mi ambicja – lać jako drugi? Nie. Pierwszy albo wcale. Wszystko albo nic. Tyle wysiłku, dobrej woli, uczucia.

Wyszedłem na korytarz. Nikt mnie nie zatrzymywał. Wyglądało na to, że nie było tu już wiele do zrobienia. Lubow i Rysiek gdzieś znikli.

Kolega, pomyślałem, przyjaciel artysta... jak Judasz, jak Kain Abła.

Zatrzasnąłem walizkę. Tak Hagen von Tronie zabił Zygryda (kiedy ten pił wodę), wbijając mu oszczep w szyję.

Z pokoju Lubow usłyszałem trzy mocne uderzenia pięścią w plecy.

Było wpół do dziesiątej. Mimo to zszedłem na dół otworzyłem drzwi, stanąłem na chwilę – ale nikt mnie nie zatrzymywał, nikt nie wyszedł, żeby zobaczyć, co się dzieje, choćby zainteresować się losem córki. Nie, pomyślałem, nie daje rady.

Wyciągnąłem z lodówki swoją nie dopitą pejsachówkę. Po raz ostatni pośliznąłem się na marmurowej posadzce zatrzasnąłem głośno drzwi.

Stałem na szczycie wieży Eiffla. Miałem pod stopami niebo i nad głową też niebo. Chciałbym stąd dojrzeć człowieka. A gdyby się tak wdrzeć na umysłów górę?

Pode mną kłębiły się mgły. Gdzieś w dole żyło to miasto, z całym swoim filisterstwem i wypaczeństwem. Ale tu cicho. Przez mgłę jak przez watę przebijał monotony, przygłuszony szum samochodów. Parę dni temu popsuła się pogoda, parno było dalej, ale niebo zaciągnęło się dziwnymi chmurami, z mgły, spalin albo i kurzu. Wszyscy czekali na deszcz, nie padał. Nikt też nie miał ochoty włączyć na wieżę, z której nic nie widać. Mogłem spokojnie pomyśleć o paru sprawach. Na przykład, że jestem człowiekiem stojącym najwyżej ze wszystkich mieszkańców tego miasta i gdyby spadła na nie kometa jakaś, zginąłbym pierwszy. Potem pomyślałem o golonce i rosole z oczkami. O Ryśku też sobie pomyślałem, już spokojnie. Przez pierwsze dni boleśnie odczuwałem zniszczenie przez niego elementarnych wartości. Krążyłem wtedy po Paryżu i krążyłem, może ich spotkam, myślałem. Szanse duże to nie były, nie miałem im też nic do powiedzenia, po dwóch dniach zrezygnowałem. Ale byłem ciekaw, czy on da sobie radę z tym chudym, długorękim stworzeniem. Jak ja mu współczułem, odkąd w krótkiej chwili iluminacji zło zobaczyłem, zrozumiałem, Lubow to modliszka. Może zniszczyć osobowość Ryśka, jego pasję wyssać, nienawiść twórczą, powolnej poddać deprawacji. Zmienić z zabójcy rybek w ich hodowcę. A jeżeli ona modliszka, to kimże ta starucha, z którą znów wydarzył mi się dziwny wypadek?

Wtedy wieczorem dowlokłem się z walizką do Domu Naukowca. Docent Dłubniak załatwił mi nocleg na leżance w pakamerze. A następnego dnia rano obudziła mnie rozmowa na korytarzu. Męski, też jakby znajomy głos namawiał Stefę, bo jej zachrypnięty rozpoznałem od razu: „Skaczymy coś przetrącić?” „A pieniądze ma pan?” Niestety pusty jestem – odpowiedział tamten. – Ale damy nogę.” „Pan mnie bierze za kogoś innego” – oburzyła się Stefa. „Zaraz, niech pani zaczeka. Ja tu znam takiego jednego skurwego syna, który śpi na pieniądzach.” (To głos męski z namysłem.) Naciągnąłem kołdrę na głowę, ale ktoś zapukał do drzwi. Był to doktor Marciniak. Rękę mi serdecznie ścisnął, w policzek jeden, potem drugi pocałował i przedstawił swoją prośbę. Przyjaciel zachorował i on potrzebuje pięćdziesiąt franków, dosłownie na dwa dni. Odmówiłem – dwudziestu na jeden odmówiłem, przeprosił, wyszedł, ale w stołówce przyczepił się do mnie, zaczął wypytywać, czy nie mam kontaktów z agenturą jakąś, choćby i syjonistyczną, bo on ma do przekazania informacje istotne i byłby mi wdzięczny. Aż zdenerwował się Dłubniak i powiedział: – Doktorze, odczepcie się od niego, to jest człowiek swój, a nawet nasz. – Skończyliśmy do herbaty moją pejsachówkę i wyszedłem właśnie z nadzieją, że spotkam Lubow, ale zamiast niej przed wspaniałym hotelem zobaczyłem wysiadającą z Cadillaca staruchę (swoją drogą ona aż się sama prosi), więc ja za nią, przez drzwi ogromne do sali wielkiej, gdzie na suficie, na błękitnym niebie amorki się goniły, niżej wisiał żyrandol kryształowy, dywan purpurowy, a starucha do recepcji, a tam już się kłania portier szpakowaty i krzyczy: – Cinq cents vingt, n'est-ce pas, Madame? – wręczając z ukłonem klucz, a inny, w liberii błękitnej z cytrynowym szamerunkiem, windę otwiera. Zrobiłem kółko, zakręciłem obok kiosku z gazetami, aż tu drzwi do restauracji (gdzie sztuce, obrusy, kelnerzy ciągną wózki z przystawkami), niby to szukam między nadętymi facetami

toalety. Ale ciężki przystojniak ubrany jak konferansjer w cyrku „Poznań”, który marnował się tu jako kierownik sali, z ukłonem wyszeptał przyjaźnie i pytająco: – Monsieur? – i dodał coś jeszcze. Odpowiedziałem z godnością: – Thank you – i wyszedłem. Najgorsze, że wychodząc nie wiedziałem, co ja robię, no może... troszeczkę coś, ale właściwie na pewno nie. A Popławski mówił o Ryśku z uznaniem. Spodobało mu się zwłaszcza to, do czego nie przywiązywałem większej wagi, że kiedyś nie bał się zarażenia. Nazwał to Conradowską wiernością samemu sobie. Zaprosiłem go na koniak, bo miałem jeszcze pieniądze, zamówiłem na własną prośbę pół flaszki calvadosu i przypomniałem mu swoje porównanie z zamordowanym nad strumieniem Zygfydem, zwrócił mi słusznie uwagę, że oszczep jest symbolem fallicznym. Ciekawa rzecz, że na temat śmierci wymieniłem też dziś przy śniadaniu myśli z Dłubniakiem i Marciniakiem. Marciniak powiedział, że dla narodu owszem, tak, Dłubniak dodał ideę – jak ją ma, to nie żałuje życia własnego ani nawet cudzego. Popławski wrzucił tylko ramionami: – Śmierć jest rzeczą zupełnie naturalną i żadnej grozy ani tajemniczości w niej nie ma. Wyszliśmy z ciemności i odchodzimy w ciemność. Poza tym w ogóle granica między życiem a śmiercią jest niesłychanie płynna. O wielu ludziach na przykład myślało się, że ich już dawno nie ma, a tymczasem sądy te okazały się powierzchowne. Zwłaszcza – uśmiechnął się – pewni byli ci, którzy ich składali do grobu, a następnie przydeptywali, a potem nie mogli ukryć swojego zdziwienia. Nie zawsze zresztą mieli wystarczająco dużo czasu, żeby się długo dziwić. Zbawiciel wskrzesił jednego Łazarza i zrobiła się z tego wielka heca. A są ludzie, co zmartwychwstają trzy i cztery razy. To jest to, co Nietzsche, a potem Eliade nazywali teorią wiecznego powrotu. Słabością tragedii Szekspira był brak w jego utworach motywu zmartwychwstania. Na tym polega przewaga mitu nad literaturą.

Cinq cents vingt – to było równe pięćset dwadzieścia. Taki był numer pokoju staruchy, ciekawe dlaczego. Potem wróciłem do domu, minęło jeszcze parę dni, w czasie których coraz mniej jadłem, bo pozostało mi zielonych trzydzieści. Postanowiłem ich nie ruszać, bo jeżeli mam wracać, to trzeba zakupić coś, jakąś koszulę, sweter chociażby, spodnie może, żeby się tam w kraju nie domyślili, jak poszło, nie wzgardzili, nie poniżali. Więc jadłem tylko bułki, zresztą smaczne, herbatą częstował Dłubniak, nalewał do pełna, cukrzył, mieszał osobiście, bo wierzył we mnie i liczył, że się jeszcze odkuję. Zaś Marciniak smutniał coraz bardziej, chyba nosił w sobie jakiś dramat. Sąsiad Popławskiego myślał nad wyjazdem do Anglii i wstąpieniem do IRA; gdzie by go (wyliczył) przyjęto ze względami, bo świat nasze tradycje walki w okrażeniu ceniał. Połączyłem z nim jeden dzień z psami, które wyprowadzał po sześć sztuk na spacer. Zimą przeziębiał je w rzece, bo kolega pracował przy psim rentgenie i dostawał procent od sztuki, a latem nienawidził ich z wzajemnością. Nagle Dłubniak przestał we mnie wierzyć, dowiedziałem się, że smutek Marciniaka zrodził się z błędnego zakupu swetrów. Zaopatrzył się, jak zwykle, w sklepie Warty przy Saint-Denis, gdzie Polacy mogą nabywać konfekcję po hurtowych cenach, dodatkowo obsługa nasza, po polsku mówi. A tu okazuje się, że w domu towarowym dla Arabów „Tati” znajdowały się podobne w cenie niższej – Marciniak wyznał mi to pewnego dnia i dodał, że chciałby się zapić. Ale wtedy ja już nic mu dopomóc nie mogłem. Łaziłem po ulicach i przyglądałem się wystawom sklepów jubilerskich. Zastanawiałem się też, czy na przykład jakaś Amerykanka bogata ma pieniądze w takich, weźmy, travelers czekach, czy raczej w gotówce, albo czy na przykład ktoś kupiłby ode mnie biżuterię, nie pytając, skąd ją mam, oraz ile powinna mieć starucha lat, kiedy umiera sobie śmiercią naturalną, i czy byłoby dla niej albo dla świata stratą, gdyby przydarzyło się to szybciej. Ale odrzucałem zaraz te wszystkie myśli jako koszmarnie, a nawet niemożliwe. Od paru dni (trzech) miałem coraz większą ochotę na dobry kawał mięsa i głównie dlatego znów odwiedziłem doktora Popławskiego, ale poczęstował mnie jedynie winem oraz powiedział, że pisze Ewangelię wg niewiernego Tomasza, apokryf, i przeczytał mi fragment.

A gdyby jednak starą trzasnąć? Pomyśleć tak i nie chcieć. Popławski, starszy człowiek, mówi o śmierci z taką naturalnością i spokojem... Brak mi jego wiary. Osiągnąć ten wyższy

porządek moralny, przebić się przez przesady, wmówienia... Miał rację z tą względnością. A ja co? Zgadzać się z nim, a nie mieć siły – to jest właśnie małość i podłość. Dlaczego w Irlandii nie wahają się rzucać bomb, zabijać niewinnych (w tym kobiety, dzieci) w imię materialnego wyrównania? Powążyć się. Ludzi trzeba porwać, potrzeba przykładu, żeby poruszyć serca, natchnąć wiarą. Zabójstwo tej staruchy to byłoby to, miało siłę symbolu. Nawet uderzenie siekierą miałyby w sobie spokojną łagodność rytuału. Orestes nie wahał się zabić matki, a nawet jeżeli się wahał, to zabił. A to nie jest nawet babka. Ojciec przykazał: „pomścisz mnie”, a na gruzach domu cóż zostało, jeno płacz chwalebny. Starucha, jeden ze stworów, które kupczą nami bez skrupułów, stanowią o nędzy świata. Gdybym się na to zdobył! Trzeba ludziom pomóc, są biedni, zmęczeni, pogodzeni z marną, tandetną codziennością. Krucha glina świata. Ale człowiek to wesz. Chyba że geniusz. Dłubniak wspomniał, że we Francji jest bardzo mały procent wykrywalności przestępstw. Potrzeba nam Iwanów Groźnych, a choćby Winkelriedów. A jak złapią i zasądzą?

...Tak, potrzeba myśli potężnej, idei! Ognia! Dla którego można zabić i zginać. A w każdym razie zabić. Ta chmura ma kształt siekiery, ta niżej to żaba. To znak. Wziąć siłę z tej chmury! A jeśli nawet, to nie pierwszy padnę i nie ostatni. Wszystkich nie wystrzelacie. Winkelried ożył.

Łagodnie uśmiechnięty mężczyzna na koniu jechał o zachodzie słońca do Marlboro Country, uśmiechnięta dama piła coco-colę. Chciałem sandwicza, ale przez rozum wypilem piwo. Potem jeszcze jedno, bo ostatecznie – zostawię sobie piętnaście zielonych, a co? O, lepiej się poczułem. Gdybym zjadł sandwicza, piwo działałoby wolniej. W końcu jednak zjadłem sandwicza, ale i też wypilem jeszcze jedno piwo. Dziesięć dolarów i koszula za końcówkę. Jakiś facet bez czoła, z włosami opadającymi na ramiona, uśmiechał się wesoło, wymachując swoim łysym skalpem. – Przeszczep zmieni ci życie – powtórzyłem parę razy głośno dla pamięci. Młoda dziewczyna w obcisłej spódnicy z wyzwolonym biustem zagadała coś do mnie, otworzyła usta i wysunęła język. Oparła się o ścianę, wypięła w moją stronę, odwróciła twarz i mrugnęła, ciągle wywijając tym językiem ze sprawnością mrówkojada. Poszedłem dalej także dlatego, że po bliższym przyjrzeniu okazała się mężczyzną. Jakiś staruszek miarowo bił małego, wyliniałego kundla. Jedną ręką dla wygody smycz sobie trzymał, drugą uderzał laską, pies bał się skomleć, nawet oczy odwracał, na pewno, żeby staruszka nie denerwował ich smutny wyraz. Nikt się nawet nie śmiał. Przystawałem w tłumie, między samochodami się przeciskałem, skoczyłem do tyłu – kierowca zaczął mi wymyślać, i znalazłem się pod jakąś kolumnadą. Ludzie szli w stronę wejścia, przypominającego drzwi do restauracji „Trojka”, gdzie na pięknym plafonie wyrzeźbiona kobieta trzyma pochodnię, tuli się do niej siwobrody mieszkaniec Uzbekistanu i dziecko z głodem wiedzy w oczach. Na środku stał portier, ludzie coś mu podawali, ja nic (idę), tylko popatrzył i cofnął się (dobry znak). Szedłem długim, szerokim korytarzem po schodach jakby marmurowych – po lewej rzeźby, po prawej nowe schody i korytarze, znów jestem w jakimś holu długim, na ścianach obrazy, ponuro jakoś. Nie ma szatniarza znajomego, wesołego śpiewu gości, cygańskiej muzyki. Obok sunęli zamyśleni Francuzi. Nagle doznałem ciekawego uczucia, na ścianie jakby coś znajomego, jakby niespodziewane spotkanie z kimś, kogo się chciało spotkać. Tak, to był uśmiech, o którym powiedział Pisarz Najwybitniejszy. Czy jest podobny do mojego? Ależ tak, do tego jestem w Luwrze. Długo szukałem wyjścia, kiedy wreszcie znalazłem się pod gołym niebem, postanowiłem nowe piwo.

A na dworze ciągle parno. Nie wiem, jak znalazłem się przed tym hotelem, tak się w sobie pograżyłem, zatopiłem. Nagle, prawie obok (to nie złudzenie) zatrzymał się Cadillac. Szofer obiegł samochód, drzwiczki otworzył, siedziała w środku. Przeciągnęła się i porozmawiała sobie z szoferem (najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu, jakby grał w amerykańskim filmie: w oczach miał godność, w kącikach ust poczucie krzywdy społecznej). Najważniejsze nie to, ale parę słów, które rzuciła i które akurat zrozumiałem, a on się uklonił i odjechał. Coś zamigo-

tało przed oczami (chyba mi trochę słabo czy jak), dłonie zwilgotniały, ale oparłem się o kolumnę z zimnego marmuru i już lepiej, i przed siebie, powtarzając: – Przyjedź po mnie o ósmej – i jego odpowiedź: – Yes, madame. – To jest znak: ona będzie u siebie w pokoju sama jedna do ósmej. Była szósta, miałem dwie bite godziny czasu. Nie byłem na to przygotowany, ale taka okazja to się może nie powtórzyć. Z restauracji hotelowej muzyka, a na pewno będą schodzić na kolację. Mogę, nie zwracając niczyjej uwagi, dojść do windy, lepiej schodami. Pamiętam doskonale – wygodne, wykładane dywanem zielonym. Tylko po nich biegać. Nie, nie wolno mi się już cofnąć. Gdzieś, tuż, klakson samochodu, niedobrze, znów mało nie wpakowałem się pod jakiegoś Citroena. Są to samochody zbyt delikatne, i nawet jeżeli wszystko się uda, kupię co innego. Zęby dzwoniły, ale umysł pracował, jak najbardziej. Trzeba do domu. Włożę wdzianko, w tym mnie prawie nikt nie widział, potem wyrzucę i gotowe. Szósta dziesięć. A ja musiałem zdobyć jakieś narzędzie, kupowanie noża nie miało sensu, sprzedawca może mnie rozpoznać, poza tym zostanę bez grosza. Trzeba zdobyć coś w Domu Naukowca, to niedaleko, tylko biec. Zacząłem biec. Jakaś kobieta pchała wózek, popatrzyła się. Zaraz. Spokojnie, wolniej, nie zwracać uwagi. Trzech starszków z psem siedziało na ławce i nic, nie zwrócili uwagi. Jeszcze ten skwerek, teraz most. Ale duszno. Ciecía w stróżówce nie było (dobrze), na korytarzu nie spotkałem nikogo (dobrze). Działać, działać! Włożyłem garniturek, oblałem się Yardleyem z wielkiej flaszki, którą znalazłem u Lubow w łazience (wolno cieknie). O siekierze nie było nawet co marzyć, ale nóż, o, to Stefa ma na pewno. Tylko czy ja dam radę pchnąć ją dobrze nożem... dla pewności trzeba by parę razy pchnąć, a i obrócić, i jak go od Stefy wydostać. Pożyczyć? Nie, nie będę pożyczał. Oto mściciel wstał i czuwa, sprawiedliwy jęk rodzica. Gdzieś tu w ogóle musi być jakieś narzędzie.

Na korytarzu słycać kroki, brzęknął czajnik. Szósta czterdzieści. Schodzili się już do stółki. Wyjrzałem na korytarz, pusto, drzwi pokoju Dłubniaka i Marciniaka uchylone, w środku paliło się światło i nikogo. Zawsze zamykali drzwi. Przystanąłem, aż tu w sąsiednim pokoju usłyszałem głosy, brzęk szkła, jakieś śmiechy, śmiech Dłubniaka, śmiech Marciniaka, racja, Magister dostał paczkę, stracili głowy i nie zamknęli drzwi, tylko co mi z tego. Na stole coś błysnęło. To był młotek, którym Dłubniak otwierał puszkę z wieprzowiną. Dwa kroki naprzód i miałem go. To dodało mi odwagi. O, poczułem się lepiej. Pomógł mi przypadek, ale w życiu nie ma przypadków, los mi sprzyja, krajowy młotek. Pod marynarkę go, trzonek w spodnie, trochę uwiera, ale nie zwracam uwagi. Naprzód, cicho, korytarz pusty, wartownia wygaszona, cieć kima. Jeżeli się już zaczęło, to szybko. Fontanna z wodą pitną, znowu skwerek, starszowie, pies drzemący, dobrze napita para. I już ulica, przed światłami rozbawiona grupa gwizdała na taksówkę. Reklama gumy do żucia, z bistro buchnął zapach gotowanego mięsa, wyszedł Murzyn. W ogóle nie czułem głodu, wypite piwo i napięcie wprawiły mnie w ciekawe oszołomienie. To już tutaj. Czy ja naprawdę to wykonam? Samochody zaparkowane elegancko, jakiś pedał w białym smokingu, kobieta w indyjski szal owinięta. Dzieci w Indiach umierają z głodu, do Gangesu rzucają trupy. Trzeba szybko z tym skończyć. Pedał i pachnący, i zadowolony. Spojrzał na mnie, ale nie na mnie, tylko na garniturek, spodobało mu się. Jak Boga kocham, spodobało mu się, wziął mnie za swojaka. Przyczepi się, albo, co gorsza, zapamięta, ale nie, był z kobietą. Czterech zasłaniało recepcję, wygoleni, uśmiechnięci, na piersiach tabliczki z nazwiskami, na ścianie zegar. Szósta czterdzieści pięć. Windą zjechała malutka kobieta – dziewczynka – Japonka (albo coś), za nią portierzy z torbami, walizkami. Windziarz kłania się i odprowadza. Teraz wolno, spokojnie na schody (pach, pach) i już mnie z dołu nie widzą. Pierwsze piętro, drugie piętro, 212, 213, więc to będzie piąte piętro. Jakby mnie ktoś zobaczył ze służby, jak się wytłumaczyć, że nie jadę windą? (Pach, pach) 315. Trzonek młotka wbijał mi się w brzuch. Zaraz. Jeszcze nic nie zrobiłem, mógłbym spokojnie odwrócić się i zejść, nie ma się czego bać. 410. Nie, nie. Już mamy piąte piętro. Na dole drzwi trzasnęły, ktoś coś mówi, kobieta, mężczyzna idą do windy, już mnie nie zobaczą. 505–530 w lewo. 531–550 w prawo. Zabrzęczało – metalowa popielniczka kołysała się na trójno-

gu, złapałem, zanim zdążyła upaść. 516, 518. Szum krwi w skroniach. Na suficie fauny, zmi-
je. Nagle na końcu korytarza jakaś postać się pojawiła, szła w moją stronę, rozkrzyżowała
ręce, zobaczyłem stalowy mundur, nad nim twarz Lizaka. Zagradzał mi drogę. Przetarłem
oczy – widmo blade i milczące – co się dzieje? Ruszyłem dalej – korytarz zakręcił, znowu się
rozszerzył, czy ja się nie kręcę w kółko? Okno otworzyło się z trzaskiem. Wdarł się wiatr.
Poczułem na ramieniu czyjeś dotknięcie, ale to tylko palmy dwie, stojące po bokach korytarza
w ogromnych donicach, wygięły się poruszane podmuchem. Sztywno podszedłem do okna.
Samochody, ludzie, orszak zmarłych długi, spojrzałem na zegarek, okno zamknąłem, minęła
minuta jedna. Tylko jedna, jeszcze parę takich samych i mogę mieć to miasto. Dobra, Janek,
dobra. Jest to przykre, ale konieczne, poza tym śmierć jest rzeczą naturalną – wychodzimy z
ciemności i odchodzimy w ciemność. Zamknąłem okno, podszedłem do drzwi. Tylko jest
jeden taki drobiazg – że ona mi może nie otworzyć. Co mam powiedzieć i w jakim języku?
Drzwi były duże, z solidnego drewna. Trudno, trzeba próbować. Poprawiłem młotek i zapu-
kałem. Może weźmie mnie za kogoś ze służby (tylko czy ja nie za błady?). To pukanie sły-
chać na całym korytarzu, a ze środka nikt nie odpowiedział. (Głucha baba.) Najlepsze, jakby
akurat zeszała na kolację, wtedy wszystko na nic – moje nerwy, strata zdrowia, przebiegłość.
Walnąłem drugi raz mocniej, niech się dzieje, i ze środka usłyszałem: – Come in. – No, to
teraz śmiało. Nacisnąłem klamkę – drzwi otwarte. Jak w powstaniu, na kolaborantce, jak na
cara. Jasne wolności powita mnie światło.

Pokój był ogromny, a nikogo w nim nie było. Przy sześciuosobowym łóżku z baldachi-
mem paliła się czerwona lampka. Aha, telefon – pomyślałem, aparat wyrwać. Zrobiłem krok
do przodu. A w łazience woda pluszcze. Świetnie, pomyślałem, mamy ją.

– Who is it? – spytała przez drzwi.

– Ja – odpowiedziałem.

Otworzyły się drzwi i wyszła. Włosy miała upięte wysoko, głowę ręcznikiem okręconą. Z
luźno zawiązanego szlafroka wychylały się ogromne, piękne, tłuste piersi.

Zaraz krzyknie, pomyślałem. Poczułem przyływ niedorzecznej odwagi (krok do przodu).
Poczułem zapach jej perfum (krok do przodu).

– Nic się nie bój, nic się nie bój – mówiłem uspokajająco. – Już zaraz będzie po wszyst-
kim.

Przyjrzała mi się (jakby z namysłem). Wsadziłem rękę pod marynarkę, chwyciłem młotek
za trzonek, zacząłem go wolno wysuwać spod paska, mówiąc najłagodniej, jak umiałem.

– Cicho, starucho, cicho. Nie warto krzyczeć. Tobie to i tak nie pomoże, a ja wpadnę.

Coś powiedziała, uśmiechnęła się, i ona teraz krok do tyłu, a ja krok do niej. Cofnęła się
jeszcze bardziej (ja za nią), usiadła na łóżku, rozsunała szlafrok i uśmiechnęła szeroko. Dwa
balony zakołysały się nad fałdami brzucha. Poniżej kępa rudych, gęstych włosów. Wsunęła
się głębiej na tapczan, rozchyliła grube uda, chwyciła kolorowy aksamitny Jasiek i wsunęła
pod siebie.

– Come on – powiedziała i machnęła na mnie ręką.

Spod łóżka wylazł piesek i przyglądał się. Ale co to... Ciekawe, poczułem niewiarygodne
podniecenie. Czegoś takiego od dawna, co tam od dawna – nigdy w życiu nie czułem. O Bo-
że, to niemożliwe, ale tak, spodnie pękały (młotek wysunął się na całą długość). Nie zdąży-
łem nawet ich zdjąć. Kiedy szarpałem się z paskiem, usłyszałem głuchy stuk. Kątem oka zo-
baczyłem, że pies obwąchuje młotek. Płacząc się w spodniach upadłem na nią. I to było nie
do opisanego. Łóżko ugięło się i długo nie mogło się uspokoić. Ona szeptała coś po angielsku,
ja krzychałem po polsku. – My sweet Raskolnikow – wycharczała. (Jakaś szajba?) Za chwilę
ktoś zapukał do drzwi. – Later! – wrzasnęła. Otarłem łzy. Na stoliku leżał zegarek, żywe
złoto, minęło 40 minut, była ósma cztery.

W ciepły, słoneczny poranek srebrzysty Cadillac zatrzymał się przed Domem Naukowca. Szofer otworzył drzwiczki, kazałem mu iść za mną. Cięć wyjrzał i zasalutował, nie odpowiedziałem. Po korytarzu człapali z czajnikami. Weszliśmy do pakamery, poleciłem rzeczy spakować. Na korytarzu ożywienie, tętnią kroki, podniecony szept Magistra. Otworzyłem drzwi, wyszedłem i sobie stoję. Dłubniak i Marciniak przyglądali mi się długo. Ruszyłem, a szofer z walizką za mną.

– Dzień dobry, panowie, i do widzenia. Przenoszę się. Dłubniak pokiwał głową. Marciniak usta otworzył, ale nic nie powiedział, tylko zamknął z powrotem.

Za to szofer drzwiczki Cadillaca otwiera. Dłubniak i Marciniak pokazują się w oknie, między nich wciśnięta głowa Magistra. Stoją, patrzą, jak wsiadam. A kiedy już wsiadłem, Dłubniak wychylił się i smutnie pokiwał głową: – Jeszcze jednego kupili.

Kupili nie kupili, to się jeszcze pokaże.

Obciach

Rzecz rozgrywa się w dwóch pokojach z kuchnią, przy czym ważny jest tylko jeden pokój, w którym odbywać się będzie akcja sceniczna. Na razie jest pusty. Są w nim półki na książki, dwa zniszczone fotele, tapczan, szafa z lustrem. Mężczyzna, który po jakimś czasie ukaże się na scenie, ma na imię J a n i pięćdziesiąt lat. Jest zmęczony, zniechęcony, zmizerowany. Twarz inteligentna, rogowe okulary typu Arthur Miller. Jego żona, J o a n n a, jest nieco młodsza, dosyć tęga, wyraźny makijaż, ślady urody. Z pokoju obok słyszymy głosy J a n a i J o a n n y.

GŁOS JANA

„Nawet najbardziej powierzchowna obserwacja wystarczy, aby wykazać, że niezliczone istoty w przyrodzie, ożywione wolą życia, podlegają podstawowemu, jakby nieprzekraczalnemu prawu, narzuconemu im przez ścisły proces płodzenia i rozmnażania się.”

GŁOS JOANNY z *kuchni*

Janie!

GŁOS JANA

Tak?

GŁOS JOANNY

Czytasz?

GŁOS JANA

Tak.

GŁOS JOANNY

To co zawsze?

GŁOS JANA

Tak.

GŁOS JOANNY

Nie mógłbyś zacząć czegoś innego?

GŁOS JANA

Nie.

GŁOS JOANNY

Co ty w tym właściwie widzisz?

GŁOS JANA

Nic.

GŁOS JOANNY

To dlaczego czytasz?

J a n nie odpowiada, po chwili przerwy czyta dalej.

GŁOS JANA

„Każde zwierzę parzy się z osobnikiem tego samego gatunku: sikorka z sikorką, zięba z ziębą, bocian z bocianem, szczur ze szczurem...”

GŁOS JOANNY

To dziwne, co?

GŁOS JANA

„...mysz z myszą, wilk z wilczycą itd.”

GŁOS JOANNY

Czy on był przystojny?

GŁOS JANA

Raczej nie.

GŁOS JOANNY

A utalentowany?

GŁOS JANA

Nie wiem.

GŁOS JOANNY

Jak to nie wiesz?

GŁOS JANA

Nie wiem.

GŁOS JOANNY

A ktoś wie?

GŁOS JANA

Nie wiem. (*czyta dalej*) „Tylko nadzwyczajne okoliczności mogą prowadzić do odstępstwa od tej zasady, głównie przymus wywołany niewolą...”
Słychać pukanie do drzwi.

GŁOS JOANNY

Ktoś puka.

GŁOS JANA

„...głównie przymus wywołany niewolą albo jakaś inna przeszkoda uniemożliwiająca łączenie się jednostek tego samego gatunku.”
Powtórne pukanie.

GŁOS JOANNY

Ktoś puka.

GŁOS JANA

Słyszę.

GŁOS JOANNY

To co, otworzyć?

GŁOS JANA

Jak chcesz.

Znów pukanie.

GŁOS JOANNY

Naprawdę mógłbyś czytać coś innego.

GŁOS JANA

Po co?

Pukanie.

GŁOS JOANNY

Bo to jest idiotyczne. Pójdę otworzyć.

*J o a n n a po raz pierwszy pojawia się na scenie, przechodzi przez nią i znika w przedpokoju.
Po chwili wraca do kuchni.*

GŁOS JANA

„Ale wtedy natura stosuje wszelkie możliwe środki, aby zwalczyć to złamanie prawa...”
Kto to był?

GŁOS JOANNY

Nie wiem.

GŁOS JANA

„W ogromnej większości pozbawia ich ona odporności na choroby i na ataki nieprzyjaciół.
Jest to rzecz całkiem naturalna...” Ale z kimś rozmawiałaś?

GŁOS JOANNY

Tak. Ktoś się pytał o kogoś.

GŁOS JANA

O kogo?

GŁOS JOANNY

Nie wiem, bo nie znam.

GŁOS JANA

I co powiedziałaś?

GŁOS JOANNY

Że nie mieszka.

GŁOS JANA

Ale o kogo?

GŁOS JOANNY

O jakiegoś Kula czy Wula.

GŁOS JANA

Kula?

GŁOS JOANNY

Czy Wula.

GŁOS JANA

„Wszelkie krzyżowanie się istot nierównej wartości daje w wyniku średnią wartość obojga rodziców.”

GŁOS JOANNY

Tak to czytasz, jakby ci się podobało. A może mnie uważasz za mniejszą wartość?

GŁOS JANA

„Takie łączenie się pozostaje w sprzeczności z wolą natury, dążącej do podniesienia poziomu stworzeń.”

Pukanie do drzwi.

GŁOS JOANNY

Pukanie.

JAN *pojawia się na scenie trzymając w ręku książkę. Czyta.*

„Cel ten zaś nie może być osiągnięty przez łączenie się jednostek różnej wartości, ale tylko przez całkowite i definitywne zwycięstwo tych, które reprezentują najwyższą wartość. (znika w korytarzu, po chwili wraca czytając dalej) Rolą najmocniejszego jest panować, a nie roztopiać się w masie słabych ze szkodą dla własnej wielkości. Tylko słaby z urodzenia może uważać to prawo za okrutne, czym dowodzi, że jest słaby i ograniczony.”

JOANNA *wchodząc na scenę*

Kto to był?

JAN

Sąsiadka.

JOANNA

Czego chciała?

JAN

Soli.

JOANNA

Daleś jej?

JAN

Nie.

JOANNA

Dlaczego?

JAN

Bo sól jest w kuchni.

JOANNA

To kto jej poda?

JAN

Nie ja.

JOANNA

To znaczy ja.

J a n nie odpowiada, wstaje i znika w przyległym pokoju. J o a n n a przechodzi przez sceniczny pokój z puszką soli w ręku. Z pokoju J a n a nie dolatują żadne dźwięki. Wtem jakby sponad sufitu dają się słyszeć przytłumione dźwięki skocznej melodii, ale i one milkną. Znów dokuczliwa cisza. W pokoju J a n a głośny brzdęk. W drzwiach pojawia się J o a n n a.

JOANNA

Znowu się wyglupiasz?

J a n nie odpowiada.

Jeżeli to znowu to, to mnie to już nie bawi. Słyszysz?

J a n udaje, że nie słyszy, chociaż kto go wie.

Wolę już, żebyś czytał.

J a n nie czyta.

Czytaj albo wszystko rzuć.

J a n upiera się przy swoim.

Dobrze, zrobisz to sobie sam.

Siada w fotelu i zaczyna czytać gazetę.

JAN *wchodząc na scenę*

Nie widziałaś sznurka?

J o a n n a nie odpowiada.

Mogłabyś kiedyś posprzątać. Nic w tym domu nie leży na miejscu. Ciekawe, kiedy ostatni raz ścierałaś kurze.

Przesuwa stertę książek, zagląda do szuflad biurka.

JOANNA *spokojnie, znad gazety*

Sznurek jest w kuchni.

JAN

Na pewno papierowy.

JOANNA

Nie, szpagat.

J a n wychodzi z pokoju, po chwili wraca z długim sznurkiem. Staje na środku pokoju, rozgląda się dookoła. Podchodzi do jednej ze ścian, zdejmuje wiszący na haku obraz. Umocowuje sznurek, robi pętlę, zarzuca ją sobie na szyję. J o a n n a przygląda mu się i obojętnie wraca do czytania gazety. J a n próbuje się powiesić, ale na stojąco sięga głową do pętli, po namyśle przysuwa krzesło, klęka na nim, patrzy długo na J o a n n e.

JAN

Czy nie mogłabyś tego wybić spode mnie?

JOANNA

Teraz czytam.

JAN

Długo jeszcze?

JOANNA

Tak.

JAN

Na pewno czytasz jakieś bzdury.

JOANNA

Nie. O polityce zagranicznej.

JAN

No właśnie. Wybij mnie. Wiesz, że mam reumatyzm, drętwieją mi kolana.

JOANNA

Więźniowie w celi wieszają się sami.

JAN

Ale mają wyżej hak.

JOANNA

Tam w ogóle nie ma haków. Wieszają się na klamkach, na klęcząco.

JAN

Ale ja mam hak. No więc co? Ruszysz się? Chyba cię często nie proszę o przysługę.

JOANNA

Nie bądź za wygodny. Ani myślę ci pomagać. Zmarnowałeś mi życie. Nienawidzę cię, wieszaj się sam.

JAN *zajęty manipulacjami z krzesłem*

Co mówiłaś?

JOANNA

Nienawidzę cię.

JAN

Aha. Może lepiej ten sznurek wziąć podwójnie.

JOANNA

A starczy ci?

JAN

Chyba tak.

JOANNA

To spróbuj. Zawsze lubiłeś się zabezpieczać. Gdyby nie twój oportunizm...

JAN

No, już nie przesadzaj. Ożeniłem się z tobą.

JOANNA

Bo myślałeś, że robisz dobry interes. Byłam wtedy na szczycie.

JAN

To już przesada. Mnie naprawdę nie musisz okłamywać. Dlaczego na ogół wieszają się na grubych pętlach?

JOANNA

Ty mnie okłamałeś. Jesteś zerem, a mówiłeś, że masz talent. I nie wybrzydź z tym sznurkiem.

JAN

Może gruba pętla łatwiej przerywa rdzeń?

JOANNA

Może.

JAN

Wcale wtedy nie kłamałem. Rzeczywiście myślałem, że mam talent. Po prostu powinnaś to lepiej sprawdzić.

JOANNA

Niby jak?

JAN *kopie krzesło, wisi przez chwilę z podkurczonymi nogami, sinieje, po czym prostuje nogi i staje*

Napiłbym się herbaty.

JOANNA

Nie ma.

JAN *odplątując sznurek*

Sama widzisz, że nie jest łatwo poznać, czy ktoś ma talent, czy nie.

JOANNA

Czytałeś mi wiersze Eliota jako swoje.

JAN

Chciałem jak najlepiej. Moje były gorsze.

JOANNA

Przez ciebie nie wyszłam za Henryka. Grałabym w jego wszystkich filmach.

JAN

Trzeba było to zrobić. Gdzie suszysz torebeczki?

JOANNA

Już wyszperałeś. Nic przed tobą nie można schować. Pijesz sześć herbat dziennie.

JAN

Pięć.

JOANNA

Sześć. Wierzyłam ci dawniej. Henryk błagał mnie, znał cię lepiej, wiedział, że kłamiesz we wszystkim. Że to wszystko, co piszesz, jest do niczego. Połóż sznurek na miejscu, bo później będziesz znowu szukał i wszystko poprzewracasz. Henryk uważał...

JAN

Daj spokój z tym Henrykiem. Nie wyszłaś za niego, bo wtedy do głowy ci nie przychodziło, że z niego coś będzie, a ja wyglądałem na pewniaka. Poza tym nie wyszłaś za niego, bo cię rzucił.

JOANNA

Nieprawda.

JAN

Ależ tak. Zresztą nie przywiązuję do tego żadnej wagi.

JOANNA

Nieprawda! Nigdy z nim nie byłam.

JAN

W porządku. Czy nie masz jakiejś świeżej torebki?
Ogląda pod światło kilkanaście wiszących na sznurku torebek z herbatą.

JOANNA

No więc rzeczywiście. Byłam z nim. Ale rzuciłam go dla ciebie.

JAN

Ta wygląda na najmocniejszą. Bez herbaty nigdy nie skończę tego, co piszę.

JOANNA

I tak nigdy nie skończysz. Jesteś zerem. Wypisujesz, że ludzie powinni się kochać. Jeżeli tak chcesz uszczęśliwić ludzkość, jak mnie uszczęśliwiłeś, to niech ją Bóg broni. Na szczęście i tak tego nie skończysz, a jak nawet skończysz, to nikt nie wydrukuje takich bzdur.

JAN

Rzeczywiście, chyba nie.

JOANNA

Jesteś bydlę. Żebyś chociaż sam miał złudzenia! Miłość, ofiarowywanie się, dawanie – ty mi nawet nie dałeś dziecka.

JAN

Nie stać nas. Poza tym nie ma herbaty. Co myślisz o śmierci pod autobusem?

JOANNA

Tobie się nic nie stanie, a zepsujesz autobus.

JAN

Zawsze mnie do wszystkiego zniechęcałaś, nigdy we mnie nie wierzyłaś.

JOANNA

Dobrze, jak chcesz, to spróbuj.

JAN

Ale nie wierzysz, że mi się uda, z góry nie wierzysz. Zrozumiem, że pozbawiasz mnie wszelkiej przyjemności.

JOANNA *czyta w gazecie*

Otworzono dwie nowe linie autobusowe.

JAN

Wychodzę. Gdybym nie wrócił...

JOANNA

Przynieś jakieś pieniądze.

JAN

Mój testament literacki schowany jest w pierwszej szufladzie.

JOANNA

Wiem, czytałam.

JAN

Jak śmiałaś?

JOANNA

Przeczytałam tylko pierwszą stronę, to było tak potwornie nudne, że dalej nie mogłam. Zresztą też na pewno z czegoś przepisałaś.

JAN

Żegnaj, *(siada na krześle)* Może nastawisz wodę? Zresztą sam nastawię. *Wstaje, bierze jedną torebkę ze sznurka, dwie inne chowa do kieszeni, ale wystają z niej sznurki, odwraca się, pokazuje J o a n n i e.*

Biorę tylko jedną.

JOANNA

Bierz, ile chcesz, wszystkie są do niczego.

JAN

Masz rację.

Chowa do kieszeni jeszcze jedną torebkę, wychodzi. J o a n n a wstaje, robi dwa kroki w stronę drzwi, potem szybko cofa się, siada na fotelu, czyta gazetę. Drzwi gwałtownie otwierają się, wpada J a n.

JOANNA

Myślałeś, że mnie nakryjesz?

J a n trzaska drzwiami, wychodzi. J o a n n a wstaje, zamyka drzwi na klucz, podchodzi do półki z książkami, naciska jakąś sprężynę. Fragment szafy odwraca się, ukazując wnękę, w której stoi wielka puszka herbaty „Lipton”. Wsypuje do szklanki kilka łyżeczek, zalewa wrzątkiem, pije. Ciężki tupot kroków na schodach. Odgłos padającego ciała. J o a n n a pije dalej herbatę. Po chwili pukanie. J o a n n a błyskawicznie dopija herbatę, strząsa fusy za siebie, wstaje, otwiera drzwi, do pokoju wpada J a n, taszcząc pijanego mężczyznę o wyglądzie człowieka, który przed chwilą, jako ostatni, opuścił przy pomocy portiera nocny lokal. Ma lat trzydzieści parę, włosy zjeżone, w miarę trzeźwienia powinny opadać. Jest dość wysoki, dość przystojny. Na imię ma B u l o. Na razie, upuszczony przez J a n a, z łoskotem pada na podłogę.

JAN zaciera ręce

Gdzie jest sznurek?

J o a n n a pokazuje ręką. J a n wraca ze sznurkiem, wiąże B u l o w i ręce i nogi. Zmęczony wysiłkiem odpoczywa. Siada na fotelu naprzeciwko J o a n n y. J o a n n a bierze do ręki gazetę, ale jej nie czyta.

Jak ci się podoba?

JOANNA

Prosiłam, żebyś nie przyprowadzał kolegów.

JAN

To wyjątkowa sytuacja.

JOANNA

U ciebie wszystkie sytuacje są wyjątkowe. Mówiłam nie, to nie. Zabieraj go stąd. Kto to w ogóle jest?

JAN

Nie wiem... A ty jak myślisz?

J o a n n a wzrusza ramionami. Zabiera się do czytania gazety.

Wygląda sympatycznie. Porwałem go.

JOANNA

Po co?

JAN

Spał na ławce w parku. Portfel mu się wysunął. Akurat przechodziłem, zobaczyłem, że ma pieniądze...

JOANNA
Zobaczyłeś?

JAN
Wysunęły mu się z portfelu.

JOANNA
Trzeba go było okraść. Co z nim zrobisz?

JAN
Zażądam okupu.

JOANNA
A kto ci zapłaci?

JAN
Jego rodzina.

JOANNA
Ee...
Odkłada gazetę, podchodzi do półek udając, że przygląda się książkom, zgarnia fusy pod półki; w trakcie tego rozmawia.

JAN
Nie wszyscy są tacy jak ty. Może jego żona go kocha.

JOANNA
Ee!

JAN
Albo może państwo zapłaci. Będzie naszym zakładnikiem. Możemy zażądać pieniędzy i samochodu, w przeciwnym razie zabijemy go.

JOANNA
Zawsze byłeś grafomanem. Przedtem musiałbyś okraść bank. Komu na nim zależy?
B u l o jęczy.

JAN
Jęknął.

BULO
O Jezu!

JAN
Katolik.

JOANNA
Lepiej go rozwiąż.

JAN

Wykluczone. Nikt nas nie widział. Mamy go w rękach.

BULO

Pić!

JOANNA

Dość przystojny.

JAN

Dziwka. Zawsze byłaś dziwką. Pamiętasz Witka? Ja do ciebie wydzwaniałem, a ty leżałaś z nim w łóżku i rozmawiałaś ze mną. Jeszcze miałaś czelność ze mną rozmawiać. I mówiłaś, że mnie kochasz. Kocham, kocham, kocham, kocham. (*kręci nosem*) Czuję zapach herbaty. Żyłaś z Witkiem bez żadnych skrupułów.

JOANNA

Miałam skrupuły.

Podchodzi do wolnego fotela, przesuwa go nieco, odchodzi kilka kroków i przygląda się nowemu ustawieniu.

BULO

O Boże!

JOANNA

Co się panu nie podoba? Czy on musi tak jęczeć? Nikt o Witku nie wiedział poza tobą, a mogłam cię ośmieszyć potężnie. Rusza się.

BULO

Bardzo narozrabiałem?

JAN

Nie.

BULO

Chlapnąłem coś?

JAN

O czym?

BULO

No, wie pan...

JAN

Nie rozumiem.

BULO

O czym żeśmy rozmawiali?

JAN

A co?

BULO

Nic konkretnie o tych sprawach, że tego... Bo jeżeli mówiłem, że mi się coś nie podoba, to wie pan... Jak to po pijanemu człowiek gada.

JAN

Nic pan nie mówił.

BULO

Na pewno?

JAN

Nie.

BULO

To dlaczego żeście mnie związali?

JAN

Pan jest porwany.

BULO

Aha. Znaczy, coś musiałem chlapać. A pan jest lekarzem czy z milicji?

JAN

Niech się pan nie boi. Ja na własną rękę.

BULO

Dzień dobry pani.

JOANNA

Dzień dobry.

BULO

Strasznie mnie boli głowa. Może mnie pan rozwiązać?

JAN

Czy pan jest bogaty?

BULO

Ile pan potrzebuje?

JAN

Chodzi o to, czy ma pan rodzinę bogatą.

BULO

Ja?

JAN *życzliwie, zachęcająco*

No, no...

BULO
Nie.

JAN
Ee!

BULO
Co, e?

JAN
E.

BULO
Mówię – nie.

JAN
A obrączka, zegarek, pięć tysięcy w portfelu.

BULO *krzyczy*
Złodzieje!

JAN
Joanno, knebel.

JOANNA
Ja się do tego nie mieszam.
J a n knebluje usta B u l o w i jedwabnym szalikiem, J o a n n a podbiega i wrywa szalik.
J a n knebluje B u l a torebkami z herbatą – sznurki z etykietą pozostają na zewnątrz.

JAN
W ogóle nie chodzi o te pięć tysięcy. Pan mnie źle zrozumiał.

B u l o dławi się.
Potrzebuję sto pięćdziesiąt tysięcy.

JOANNA
Nie przesadzasz?
Wstaje z fotela, podchodzi do J a n a, przesuwa go o kilka kroków i przygląda mu się w nowym ustawieniu.

JAN
Znowu coś ci się nie podoba. Narażam się na więzienie, co więcej, odchodzę od swoich poglądów na temat życia, świata i miłości. Muszę wiedzieć, za ile.
B u l o dławi się coraz intensywniej.

JOANNA
Odknebluj go, nie można go zrozumieć. A ty powinieneś zmienić krawat. To, co nosisz...
J a n odkneblowuje B u l a .

BULO *plując herbatą*
Co za świństwo!

JAN *zadowolony*
A widzisz? Zgadzam się z panem. Moja żona jest wyjątkowo skąpa. Dlatego też...

BULO *miotając się po podłodze*
Oddawaj forszę.

JAN
Wykluczone.

JOANNA
On sam sobie kupuje krawaty.

JAN
Ona oszczędza nawet na herbacie.

BULO
To były pieniądze na lekarstwo. Mam chorą matkę.

JAN
Ciężko chora?

BULO
Śmiertelnie.

JAN
No widzi pan. A ja i moja żona jesteśmy zdrowi. Po cóż więc te swary?

BULO
Ale starzy...

JOANNA
Cham.

JAN
A kto z nas starzej wygląda?

BULO
Niech pan odda pieniądze.

JAN
Nie rozumiemy się.

BULO
Jeszcze cię dopadnę. Ty chuju, ty... ruro, parowo!

JAN
Pan jest niesłuchanie prymitywny.

JOANNA z *satysfakcją*
Jak pan powiedział, ruro?

BULO
Możliwe.

JOANNA
To przezabawne. Słyszysz, ruro?

JAN
Jak zawsze jesteś solidarna.

JOANNA
Nie martw się, ruro.

BULO
Jak pan mnie znalazł?

JAN
Na ławce.
Zaczyna rozwiązywać i zdejmować krawat.

BULO
Rozwiążcie mnie i dzielimy forszę na pół.

JAN
Przecież pan jej w ogóle nie ma. Zresztą mówiłem, że nie o to chodzi. Ma pan coś do pisania?

BULO
Mam.

JAN
To niech pan pisze.

BULO
Ręce.

JAN
Słusznie.
Rozwiązuje mu ręce. B u l o łapie go za gardło. J o a n n a z nieoczekiwaną szybkością podbiega i wymierza B u l o w i precyzyjnego kopa. B u l o zwija się na podłodze. J a n wiąże go dodatkowo krawatem i knebluje.

Raz się ładnie zachowałeś. Gdybyś tak mi pomagała w życiu.

JOANNA
Tobie nie można pomóc. Rozwiodłam się dla ciebie. Rzuciłam wszystko. Wróciłam do kraju. Zrezygnowałam, wiesz, parowo, z jakiego życia.

JAN

Bo liczyłaś, że ja zrobię karierę. Chciałaś sobie pograć. Obliczyłaś, że ze mną ci to musi wyjść. Scenariusze, sztuki... Najpierw wyjechałaś, bo myślałaś, że tam ci się uda. Nie udało się i wróciłaś. Nie myślałaś, że mnie tak to zbrzydzi, że przestanę pisać te wszystkie idiotyzmy.

JOANNA

Kochałam cię, parówko. I ty przysięgałeś, że mnie kochasz. Cud zdarza się tylko raz. To mówiłeś, nie?

Podchodzi do stolika, stołu, czegośkolwiek, przeciąga to w nowe miejsce.

JAN

Ty jesteś przebiegła dama. To znaczy byłaś. Bo teraz jesteś już stara.

J o a n n a zajęta przesuwaniem, przemieszczaniem, przekładaniem innego sprzętu, przedmiotów lub J a n a. B u l o wypluwa knebel i jęczy.

BULO

Zardzewiała kotwica, dziurawa szalupa.

JAN

A to kapitalne. To co mojej żonie, prawda? Czy pana nie nazbyt piją te sznurki?

BULO

Piją.

JOANNA

Skurwysyn.

JAN

Przepraszam bardzo.

BULO

Nie ma za co, współczuję panu.

JAN *podchodzi do półek, otwiera schowek i wyciąga nową damską torebkę*

Jeżeli obieca pan, że nie będzie się rzucał, to rozwiążę panu ręce i napisze pan list. A to dla ciebie, na nowe pieniądze.

BULO

Jaki list?

JOANNA *nucąc*

Hojna parówko, rura z gestem, tra-la-la.

JAN

Może pana zamordujemy, jeżeli rodzina nie podłoży stu pięćdziesięciu tysięcy.

B u l o dławi się.

O co chodzi? Źle się pan czuje?

BULO

Ja mam taki rodzaj śmiechu.

JAN

Niech pan przestanie, bo pana zaknebluję.

JOANNA

Powinien się pan leczyć.

JAN

Ma pan żonę?

BULO

Mam. Ucieszy się, jak dostanie ten list. Ile to ma być? Sto pięćdziesiąt? Już piszę.

JOANNA

To chyba jakaś pospolita kobieta. (*spoglądając na torebkę i na swoją suknię*) Czy to się nie gryzie?

JAN

Co pan pisze?

BULO

Droga Haniu. Nie widziałem cię dwa lata, ale mam dla ciebie wiadomość.

JAN

Pan się z żoną tak rzadko widuje?

BULO

Tak się składa.

JOANNA

Pana nie ciągnie do żony?

Podchodzi do półek, otwiera ukrytą szafę. W drzwiach szafy jest lustro, w którym się przegląda.

JAN

Jak pan to robi? Mieszkacie razem?

BULO

Ale ja mam dużo spraw.

JAN

I ona się zgadza?

JOANNA *ściągając z siebie suknie*

Pewnie zdradza.

BULO

A co ma robić?

JAN

Pan jest mężczyzną. Cieszę się, że pana poznałem.

JOANNA

Nie ośmieszaj się. Wypuść go, rozwiąż i przeproś.

BULO

Czy ja pani skądś nie znam?

JOANNA *kokieteryjnie, właśnie bez sukni, w kombinacji, osłaniając się niezdecydowanie od strony B u l a jakimś stroikiem*

Z pewnością.

BULO

Jak tak patrzę na panią... Pani nie pracowała w telewizji?

JOANNA

Widzisz? Jeszcze mnie ludzie pamiętają... Byłam aktorką.

BULO

Niesamowite.

JOANNA

Grałam w filmie „Suche oczy”.

BULO

Pamiętam, pamiętam. Chyba w tych samych majtkach?! Jezu, jak się pani rypla.

JOANNA

Nie rozumiem.

BULO

Znaczy fizycznie.

JOANNA

To przez tego skurwysyna. Myśli pan, że się roztyłam?

BULO

Aha.

JAN

Najpierw wyjechałaś z tym paryskim dziennikarzyną, potem nie chcieli cię angażować, ale dlatego, żeś się już w tej Francji, jak to pan kapitalnie sformułował, rypla. Witek już cię nie chciał, Henryk też, to przyjechałaś do mnie.

JOANNA

Nie miałam dla kogo dobrze wyglądać.

JAN

Ale jak wróciłaś, to obiecałaś, że schudniesz. Pozwoli pan, że zapiszę, ten język prymitywów jest wspaniały, to jest nie do wymyślenia – rypla się. (*mówi smakując słowa*) Moja żona się rypla. Wie pan, pisałem kiedyś scenariusze.

JOANNA

Wróciłam, bo klęczałeś, mówiłeś, że jestem najpiękniejsza, ty jesteś najlepszym, najzdolniejszym pisarzem w tym kraju, a będziesz jeszcze lepszy. I uwierzyłam ci.

BULO

Literaci to dobra branża, ale interes krótkotrwały. Musiała pani być w klopie albo za leniwa.

JAN

Uwierzyłaś, bo ci nie wyszła tamta francuska historia. A ty grać chciałaś, koniecznie grać. Pokoleniowa aktorka, która się marnuje w dobrobycie francuskim.

BULO

Wrócić z Zachodu – to niesamowite!

JAN

Zamknij się pan.

BULO

To rozwiążcie mnie i koniec, co za sprawa. Oddajcie pół szmalu, wyjdę, nic nikomu nie powiem. A on miał szmal?

JOANNA

Kto?

BULO

Żabojad.

JAN

Miał.

JOANNA *kończąc przebieranie się*

Ale tak właściwie to on się ze mną ożenił dla pieniędzy. Co on wtedy był – drugorzędny dziennikarzyna. A ja oszalała Polka, artystka. Do niego samego nikt by na party nie przyszedł. Jak razem zapraszaliśmy, to przychodzili, bo mnie tam wszyscy pokochali.

JAN

Bo Polaków wszędzie kochają.

BULO

Tak słyszałem.

JAN

To niech pan jedzie i się przekona.

BULO

Najpierw mnie rozwiążcie.

JOANNA *już wspaniale ubrana*

To ja byłam wielką atrakcją, rozumie pan?

BULO

Nie.

JOANNA

Prymityw.

JAN

Ma rację. To bzdura. Skończ ten bełkot.

BULO

Nie wiem, jak pana tytułować w liście.

JAN

To po coś stąd wyjechała?

JOANNA

Wiesz po co. Musiałam uciekać. Tak mnie wykańczali. Przez ciebie.

JAN

Niby dlaczego?

BULO

Nie wiem, jak pisać. Że pisarz się zgłosi po pieniądze czy jak?

JAN

Niech pan napisze – bandyta.

BULO

O, nie, przepraszam, za bardzo szanuję pana żonę.

JOANNA

A ty okazałeś się nikim, a ja cię kochałam.

JAN

Dobry sobie wybrałaś moment do zwierzeń. Ale chcę ci popsuć przyjemność. Nigdy nie wierzyłem w to: „Ach, Janku, och, Janku, cudownie, Janku.”

JOANNA

To jesteś głupi.

BULO

Pani Joasiu, pisać „bandyta”?

JOANNA

Niech pan śmiało pisze.

JAN

Dziękuję, kochanie.

JOANNA

Może pan jeszcze dopisać „głupiec”.

Przechadza się po pokoju krokiem damy na deptaku. Ukłony dystyngowane na lewo i prawo.

BULO

No nie, już co to, to nie. Mnie i tak jest nieprzyjemnie.

JAN

Termin.

BULO

Co?

JAN

Jaki termin?

BULO

Wszystko jedno.

JAN

Tydzień starczy?

BULO

Mówię – wszystko jedno. Może być tydzień albo jutro, albo dziesięć lat.

JAN

Nie zapłacą?

BULO

W życiu.

JAN

To zabiję pana.

BULO

E, po co?

JAN

Następnym razem uwierzą i zapłacą.

BULO

Taki inteligentny człowiek, a tak gada. Kto dziś ma do wyrzucenia sto pięćdziesiąt tysięcy prywatnie? Chyba że społeczeństwo.

JOANNA

On może pana zabić. To jest zero bez talentu. Nic nie pisze, nic nie ryzykuje.

BULO

Jak to? W każdym razie to artysta. Ma swoje wystawne życie. A tak wpadnie i po życiu.

JAN

No to co?

BULO

Powieszą pana.

JOANNA

Może tu jest przytulnie, ale jakoś ponuro.
Zabiera się do dalszego przedstawiania.

JAN

Sam się dziś próbowałem powiesić.

BULO

I co?

JAN

Nie udało się.

BULO

To jest bardzo proste. Mogę panu pomóc.

JAN

Żartować będzie pan z żoną.

BULO

To już przebrzmiało. Dzisiaj tylko na migi.

JAN

Ale pieniądze da?

BULO

Tak się mówi. Pan by dał?

JAN

Niech pan podpisuje. Na dowód, że panu coś grozi, utnę panu palec.

BULO

Co pan?

JAN

Najmniejszy. To nic takiego.

BULO

I tak nie uwierzą. Pomyślą, że to czyjś palec. Niech pan utnie trupowi.

JAN

Pan oszalał? Ja mam szukać trupa i profanować zwłoki? Pan jest wygodny. To zresztą wcale nie jest bolesne. Bez palca nie będzie pan musiał iść do wojska. Zwolnią pana.

BULO

Ja już byłem.

JOANNA

Jaki pan miał stopień?

BULO

Doszedłem do kaprała.

JAN

Tak też podejrzewałem.

W czasie dialogu kępuje mocniej ręce wyrywającemu się B u l o w i.

BULO

A pan był w wojsku?

JOANNA *spod stołu*

Dlaczego najcięższe roboty zawsze na mnie wypadają?

JAN

Zwolnili mnie. Miałem chore serce.

BULO

Z chorym sercem już pan powinien nie żyć. Może pan obciąć sobie palec. Panu niepotrzebny, skoro pan nie pisze. Może nie? A co mówiła żona?

JAN

Joanno, zamiast narzekać, przyszykuj jakiś duży, ostry nóż.

JOANNA

Tyś zupełnie zwariował. Jeżeli już, to tasak. Ale on jest chyba tępy.

JAN

Nie szkodzi. Byle duży i ciężki.

BULO

To już niech pan tnie ucho.

JAN

Trzeba dopisać, że będziemy codziennie obcinać panu jeden palec i wysyłać.

JOANNA

Ja mam zajęte ręce. Pisz sobie sam.

JAN

Takie jest moje życie, widzi pan?

BULO

Panie, bez rąk mężczyzna jest półimpotentem. A ja szanuję kobiety. Tylko swoją łąłem.

JAN

To nie przyśle forsy.

BULO

Ona to lubiła.

JAN *rozbawiony*

Poważnie?

BULO

A jak!

JAN

A ona?

BULO

Była potem jak trusia. Kic, kic i marchewka.

JAN

Nie rozumiem. Pan jest chyba świnia. Kobieta musi mieć rewanz.

BULO

Co?

JAN

Ona pana nie?

BULO

Co?

JAN

No?...

BULO

Nie.

JAN

Ciekawe. Czytałem Tomasza Manna; tam był ołówek.

BULO

Mężczyźni zawsze się dogadają.

JAN

Naprawdę? To mi nie przyszło na myśl.
Z kuchni dochodzą łomoty. Po chwili wkracza J o a n n a z potężnym tasakiem.

JOANNA

Tak się bałam, że nie znajdę. Jest strasznie tępy.

JAN

Kiedyś go używałaś do rąbania mięsa. Robiłaś dobre sznycle.

BULO

Jestem głodny.

JOANNA

Kiedyś pisałeś i nie piłeś.

BULO

Czy tu się nic nie je?

JAN

Bez awantur, piję przez nią.

BULO

Ostatnio jadłem wczoraj.

JOANNA

To już słyszałam. Jesteś pizda.

BULO

To prawda.

JOANNA

Nie mówię do pana.

BULO

Dlaczego?

JOANNA *ogląda tasak*

*Pójdę go odkurzyć.
Wychodzi do kuchni, skąd po chwili poczynają dolatywać najprzeróżniejsze odgłosy.*

BULO

Pan pije?

JAN

Nie.

BULO

Ja też nie. A jeżeli już, to przez kobiety. Panie, co one zrobią z każdego człowieka! Pan jej się nie boi?

JAN

Poważnie?

BULO

Jasne. Nic pan nie czuje?

JAN

To co? Napije się pan ze mną?

BULO

Dlaczego nie.

JAN

Polubiłem pana.

BULO

Pan też jest całkiem równy.

JAN

Dobrze mi się z panem rozmawia.

BULO

Mnie też.

J a n kładzie palec na ustach, skrada się pod bibliotekę, wyciąga z dolnej półki, ze schowka butelkę wódki. Szybko zamyka schowek, odkorkowuje butelkę, pije. B u l o pytająco:

Jarzębiak?

JAN

No to brudzio. *(przytyka B u l o w i butelkę do ust)* Janek jestem.

BULO

Bulo.

JAN

Palniesz jeszcze, Bulo?

BULO

Jasne, Janek.

Piją tym samym systemem. Z kuchni dochodzi łoskot.

Janek?

JAN

Co?

BULO

Nie zrobisz mi tego?

JAN

Czego?

BULO

Z palcem.

JAN

Zrobię, Bulo. Zrobię, bo muszę.

BULO

Bo cię sypnę. I to do żony.

JAN

Z czym?

BULO

Powiem, gdzie chowasz flaszki.

JAN

Nie zrobisz mi tego.

BULO

Zrobię.

Wchodzi Joanna z tasakiem.

JOANNA

Tasak w porządku, poza tym zaczęłam przestawiać. Zmiany w życiu są potrzebne. Co ty na to?

JAN

Nic.

BULO

Sypnę cię.

JAN

Sypniesz mnie przed żoną?

BULO

Tak. Chyba że mnie rozwiążesz.

JOANNA

Przyniosłam bandaż.

JAN

A jaką mam gwarancję, że i tak mnie nie sypniesz?

JOANNA

Czy to bardzo krwawi?

BULO

Nie sypnąłbym cię.

JAN

Już ci nie ufam.

BULO

Tak?

JAN

Tak.

BULO

On ma schowaną wódkę.

J a n bierze tasak z rak J o a n n y i zaczyna uderzać jego trzonkiem o kamienny parapet, starając się zagłuszyć słowa B u l a.

On ma schowaną wódkę.

J a n, kryjąc w kieszeni opróżnioną do połowy butelkę, zaczyna zajadle ostrzyć tasak.

JOANNA

Gdzie? (do J a n a) Przestań.

BULO

Koniec z bruderszaftem. Przy okazji wypijemy cofańca.

JAN

Jesteś nikim. Gdyby to się działo w obozie, więźniowie by cię zlinczowali.

JOANNA

Gdzie?

JAN

W obozie.

JOANNA

Gdzie wódka?

BULO

Nie mogę pokazać ręką, bo mam związane.

JOANNA .

Niech pan pokaże głowę.

B u l o pokazuje.

BULO

Tam. Powiem dokładniej, jak mi darujecie palec.

JAN

Jesteś człowiekiem naiwnym. Ona cię wykiwa.

BULO

Nie mam nic do stracenia. Za tą książką u dołu.

J o a n n a biegnie, znajduje skrytkę, wyciąga trzy półlitrowki, ustawia je na parapecie.

JAN

Tniemy.

BULO

Dosyć tych żartów. Jest za tępy. Jesteście sadyści, bandyci.

JAN

Zachowuj się z godnością. Wielka rzecz, palec. Tylko się nie szarp, bo pójdą dwa. Na wojnie ludzie tracili ręce, nogi i nie krzyczeli. Zachowywali się z godnością.

BULO

Bo nienawidzili Niemców. Może jesteście wrogami ojczyzny? Ale przecież nie. No to mamy te same pogody.

JAN

Niby jakie?

BULO

Lubisz Niemców?

JAN *z wściekłością*

Tych piwoszów? Tych rzygaczy? Tych darmozjadów? Tych Krzyżaków na emeryturze?

BULO

No widzisz? To po co się łać między sobą? Mamy wspólnego wroga, który nam ciągle zagraża.

JOANNA

Od wojny minęło trzydzieści parę lat. Skończcie z tą narodową demagogią. Nie czytacie gazet? Dlaczego was niczego nie uczą?

Wyciąga z jakiegoś kąta barek na kółkach i ustawia na nim zarekwirowane butelki z wódką.

BULO

Wygotujcie go chociaż.

JOANNA *biegnąc do pólek*

Mam spirytus salicylowy.

JAN

To zapas sprzed paru lat.

BULO

Wy, intelektualiści, jesteście najgorsi. Zostanę pomszczony.

Następuje szarpanina. Potem okrzyki: „ratunku”, „bandyci”, „podłóż klocek”, „dawaj knebel”, „hitlerowcy”, wreszcie słycać głucho uderzenie tasaka i jęk, potem znów okrzyki: „bandaży”, „ściśnij w przegubie”. Oczywiście palec musi naprawdę zostać ucięty. Żadne udawanie ani inne aktorskie tricki nie wchodzi w rachubę. Jeśli aktor nie będzie chciał, trzeba mu pomóc.

JAN *opada na fotel*
Muszę się napić.

JOANNA *przypada do B u l a*
Malutki, jak krwawi.

JAN *wypija dwie setki*
Zemdlał.

BULO
O, kurwa.

JAN
Ocknął się. Wzywa ciebie.

JOANNA
Oddaj butelkę.

JAN *udając, że nie słyszy*
No to dziś jednak coś zrobiłem.

BULO *prosząco*
Daj łyka.

JOANNA
Odlóż tasak, daj butelkę.

JAN
Proszę uprzejmie.
Wypija jeszcze trochę, podaje J o a n n i e butelkę, ona przystawia B u l o w i do ust, ten pociąga.

JOANNA
Chyba ja też się napiję. Gdzie masz ten palec?

JAN
Tu leży.

JOANNA *pochyla się nad palcem, ogląda go*
Może go z powrotem mu przyłożyć. Zupełnie zdrowy.

BULO *jęczy*
Rwie mnie, jakby był.

JOANNA
Nie mówmy hop. Teraz należy do mnie.

BULO
O Jezu.

JAN

Ty wstydu nie masz, Bulo. Ranni bez obu nóg na wojnie mniej jęczeli.

JOANNA

Nie wtrącaj się, Janie. Ty nigdy niczego nie rozumiałeś. Zresztą, skąd możesz o tym wiedzieć.

JAN

Ja pisałem, byłem sumieniem. (*podsuwa Bulo wi flaszkę*) Co wy wiecie o sztuce?

BULO

Pójdę na milicję.

JAN

Nikt ci nie uwierzy. Czy ty wiesz, co to jest zaatakować pisarza? Czy ty byłeś kiedyś w organizacji? A ja byłem. Nawet teraz tego nie żałuję. Wspaniale się czuję. Chodź, Joanno. (*siada na łóżku*) Chodź tutaj.

JOANNA

Po co?

JAN

Chcę cię przytulić. Dzieje się coś ważnego. Poza tym kiedyś mnie kochałaś. Chodź do łóżka. Czuję, że mam ci coś ważnego do zdradzenia.

JOANNA

Upiłeś się.

JAN

Ale skąd.

BULO

Ile on tam wypił. Ale tacy mają słabą głowę.

JOANNA

Już raz mnie nabrałeś. Potem nie wiedziałam, jak się zachować i przed kim. Nabierałeś, a mnie oddzielali kupony. Czasem było to przyjemne. Pamiętam porucznika Henryka. Potem pojechał, a jak wrócił, to już dobrał się do innych. Tacy są wojskowi. Pan mówił, że był żołnierzem, jakiej rangi?

BULO

Ten palec na pewno można by jeszcze przyszyć.

JAN

Mały palec jest tylko ozdobą. Niepotrzebnym ornamentem, atrapą, do niczego nie służy.

BULO

Teraz nawet ręce przyszywają.

JAN *wstaje, bierze J o a n n ę za rękę, pociąga ją za sobą na tapczan*
No, kochanie?

BULO
Świnie.

JOANNA
Dawniej mogłeś wypić więcej i nie gniołeś mi kreacji. A poza tym uważaj, nie wiesz, w jakim on wyszedł stopniu.

JAN
Widzisz, ja dla ciebie robiłem tak wiele, zawsze spontanicznie. Czy ty zawsze musisz kalkulować? On ma stopień kaprała, mówił. Przez to nigdy nie będziesz mi się w stanie zrewanżować. Pamiętasz, przed twoim wyjazdem, kiedy wychodziłaś za mąż, mieliśmy pół godziny czasu. Mieliśmy iść do łóżka, ale ty spotkałaś Henryka i poszłaś z nim porozmawiać.

JOANNA
Wymyśliłeś to. To nie był ten Henryk. Tamten był pedał. Ale we mnie się kochał, bo ja jestem prawdziwa. Byłam prawdziwa, bo teraz? Proszę na mnie popatrzeć. Czy może mam się rozebrać?

BULO
Ja co innego. Ja nawet jedną ręką, byle rozwiązana.

JAN
Naprawdę nie pamiętasz z Henrykiem?

BULO
Ścierpły mi ręce.

JOANNA
Z Henrykiem czy z Heniem? Jako symulant nigdy nie byłbyś prawdziwym wojskowym.

JAN
Bulo nie tłucz się. Żona schowała twój palec. Jest to może świństwo, ale twój palec będzie symbolem, który rzucimy w twarz ludzkości. Niech płacą albo zginie człowiek. Czy w centrum miasta może zginąć człowiek, tak żeby to nikogo nie obchodziło?

BULO
Pewnie że tak. Z człowiekiem można wszystko, byle po cichu i skutecznie.

JOANNA
Ciekawe, ile daliby za pisarza, gdyby zginął jak człowiek.

JAN
Niestety, masz rację, Bulo.

JOANNA *do B u l a*
Czy nie uważa pan, że on egzażeruje albo neglizuje?

JAN

Męczeństwo Bula będzie odkupieniem. Potniemy cię na kawałki i będziemy wysłać do ludzi prywatnych i instytucji. Może nawet za granicę. Ręce, nogi, oczy, uszy. Joanno, mam misję do spełnienia. Bulo, właśnie twoje części wstrząsną ludźmi! Pomyśl tylko: jak wyrzut sumienia będziesz w kawałkach przychodził z poranną pocztą. Zburzymy ich spokój, zniszczymy samozadowolenie filistrów, pedałów, zupaków, strażaków, Henryka też.

BULO

Mnie na tym nie zależy. Wolałbym...

JOANNA *spółzając z tapczanu*

Mylisz Henia z Henrykiem. Zawsze mylisz wszystko.

JAN

Nie przerywaj.

BULO

O forszę ci chodzi? Mogę zarobić.

JAN

Tak albo nie. Nie o to chodzi. Ci, co trzeba, mnie zrozumieją. To w imię naszych wąskich politycznych interesów i uzasadnień. Jestem pijany, miałem mówić na odwrót. Żądamy okupu dla dobra ogółu. Aby ludzkość siebie odnalazła. Albo zginiemy wszyscy.

Przewraca się.

JOANNA *już na czworakach*

Mój mąż jest niewydarzony. Dlaczego nie został żołnierzem?

JAN

Oto już cud pierwszy. Patrz, Bulo, czego dokonałeś. Jestem szczęśliwy.

JOANNA *wstając*

Mój mały...

J a n zasypia.

BULO

Zasnął.

JOANNA

Myśli pan? On wszystkich oszukiwał.

BULO

Za dobrze by było. Taki nie rodzi się na kamieniu. Co pani z nim robi tyle czasu? Taka piękna kobieta i aktorka.

JOANNA

Piętnaście lat.

BULO

On tak często?

JOANNA
Co?

BULO
Z zaniechaniem.

JOANNA
Pan o seksie?

BULO
Taki człowiek to sadysta.

JOANNA
O, wie pan... On często atakował jako sodomita.

BULO
Mam szczęście. On panią wpędzi w straszne kłopoty.

JOANNA
A tam. Poza tym nie przepadam za tym wcale.

BULO
Ale jako sadysta? Z obcinaniem?

JOANNA
Pierwszy raz.

BULO
Gwałt, okaleczenie... Parę lat za współudział w porwaniu. Razem będziecie w kiciu.
J a n chrapie przerażająco.
Ma zdrowy sen. (*chce mu przerwać gwizdem*) Jak on to z panią robi?

JOANNA *podchodząc do tapczanu i chwytając J a n a oburącz za głowę*
Gdzie pan się wychowywał?

BULO
Jak pani myśli? Chyba nie w domciu. Przynajmniej takim jak pani.

JOANNA *powoli ściągając J a n a*
Nie wiadomo.

BULO
Niech mnie pani nie kokietuje. Nie lubię zdir. Bez palców jestem do niczego.

JOANNA *wciąż ciągnąc J a n a*
Nie wiadomo.

BULO
No to po was. Będziecie siedzieć.

JOANNA *puszczając J a n a, który zwiesza się teraz połową ciała z tapczanu*
Wszystko jedno. Nudzę się.

BULO

To się tak tylko mówi. Na przykład mnie pani rozwiąże, a ja się do pani wezmę. Co wtedy?

JOANNA

Źle pan sobie dobiera towarzystwo. Idzie pan na łatwiznę.

BULO

Zobaczy pani. Mieszkanie pani poprzestawia.

JOANNA

Pan się nigdy nie myli?

BULO *kokieteryjnie*

Gdybym był z taką kobietą jak pani, to nigdy.

JOANNA *z satysfakcją*

Co też pan mówi.

BULO

Poważnie. Za jedną noc z panią to ja nie wiem co bym dał. Mówię pani, jak ja bym się do pani zabrał, o Jezu! Ręce na boki, nogi do góry.

JOANNA

Kokietuje mnie pan tylko.

Zbliża się do pólek, otwiera schowek, wyciąga dywan.

BULO

Wykluczone. Chociaż, co pani szkodzi spróbować. Ten tu śpi.

JOANNA

Musiałabym pana rozwiązać.

BULO

No?

JOANNA

A nie umie pan bez rąk?

Podchodzi do barku, nalewa sobie do szklaneczki i wypija jednym haustem.

Panu nie proponuję.

BULO

Zastanawiam się, czy pani jest taka wredna dla każdego.

JOANNA

Pan nie zwraca uwagi na Jana. A jakby się obudził?

Wlecze B u l a na dywan.

BULO *turlany*

Moglibyśmy go związać. Pani mi w ogóle nie ufa, i to aktorka.

JOANNA

W czym pan mnie widział? Czy pan widział wielki świat? Czy pan czytał, powiedzmy, Gantenbeina? Tam też były aluzje do Polski, do polskich literatów.

BULO

Przecież nic mu nie zrobię, nawet rąk mu nie zwiążę, tylko nogi.

JOANNA *siadając na dywanie*

Na szczęście nie czytał pan i nic pan nie rozumie. W nagrodę pana rozbiorą.

BULO

Nie pójdę na milicję. Forse podzielimy na pół. Gdzie on ją ma?

JOANNA

Wtedy chwalili mnie wszyscy. Starłyśmy się tylko z Sonią. Potem wyjechałam przez tego skurwysyna.

BULO *pokazuje J a n a*

Tego?

JOANNA

Nie, innego.

BULO

Tasak jest na stole.

JOANNA

Historii nie da się cofnąć.

BULO

Na pewno. A ten Francuz płaci coś pani? Bo potem to on był.

JOANNA

Pan nie zna Zachodu.

BULO

Jakieś alimenty?

J a n rusza się przez sen, mówi „kochanie”.

JOANNA

Wsypał się. Kocha kogoś, łajdak.

JAN

Joanno, kochanie, gdzie jesteś?

JOANNA

Kocha mnie.

JAN *ciągle przez sen*
Kochanie, malutka.

BULO
Upił się. Zawsze się mówi „malutki, malutka”. A potem są tylko nieporozumienia i co tu dużo mówić, brak rozwiązania.

JOANNA
Nie, on mnie kocha. Zaraz pana rozwiązę. Bałam się, że to dla niego nic nie będzie znaczyło, albo że się ucieszy. A tak w porządku, będzie cierpiał.

BULO
Przecież mówiłem. Pani, ja panią, ja nawet, gdybym nie panią, to ja bym tak panią, że pani mnie nie mogłaby nawet rozwiązać, jak się to u was mówi, sznurowadła. Tnie pani?

JOANNA
Sznurek może się przydać, rozwiązę pana. To jest bardzo dobry sznurek. (*rozplątuje moczolnie węzły*) Pocałuj mnie.

BULO
O Jezu! (*rozciera ręce i nogi, wstaje*) Zdrętwiały mi. Co to za okropna meta. *Zaczyna truchtać po scenie.*

JOANNA
No!

BULO
Nie bój żaby. Za chwilę.

JOANNA
No!
B u l o robi przysiady jak przy rozgrzewce.

JAN *przez sen*
Kochanie...

JOANNA *podrywa się z tapczanu*
Wiążmy go. Będziesz miał mieszkanie, Bulo.
Zaczynają wiązać J a n a.

BULO
Tylko jedną ręką mogę. Zna pani węzeł marynarski?

JOANNA
Nie.

BULO
Kiedyś panią nauczę.

JOANNA

Z tego się nie wyszarpnie.

B u l o całuje ją.

Zaczekajmy, aż się obudzi. Teraz pytanie, co robić.

BULO

Dwa kroki w tył, jeden do przodu. Przyjemność gotowa, a obraza wielka. Ja panią na jego oczach.

JOANNA

Zepchnij go na podłogę.

BULO

Potłucze się.

JOANNA

Aha, mienszewik.

BULO

No to trach!

J a n z łomotem spada na podłogę.

No to już!

JOANNA

Ułóż go głową do góry, twarzą w naszą stronę. I unieruchom.

J a n budzi się.

JAN

Co oni chcą mi zrobić? Co to za okropne słowo? Unieruchom?!

JOANNA

Chodź, kochany.

Obejmuje B u l a, który kładzie się obok niej.

JAN *zupełnie rozbudzony*

Co za hańba! Co za megalians! Czy ty rozumiesz, że zdradzasz wszystko? Przecież nie znasz go bynajmniej.

BULO

Dlatego, że jestem prosty człowiek? Nie podobam wam się.

JAN

Fizycznie nie bardzo.

Wstaje, zrzuca pęta. Staniając się odsuwa półki i zza ukrytych drzwi wyciąga nowe sprzęty.

JOANNA

Ale to jest mężczyzna. Po prostu. A ty, jeśli chcesz wiedzieć...

JAN

Pewnie nigdy cię nie zaspokajałem.
Wyciąga różne sprzęty z półek i domeblowuje pokój. W tym czasie B u l o zajęty jest próbami rozbierania J o a n n y.

BULO

Jak to idzie?
Meczy się ze stanikiem.

JOANNA

W tym nie ma nic śmiesznego... To się rozpina z przodu. To jest import z Zachodu. Z Hamburga. Tam podobno tak zawsze, w dokach. Nigdy ci tego nie mówiłam, ale teraz... nie zaspokajałeś mnie.

JAN

Owszem, mówiłaś. Przy wszystkich wiele razy, przy Francuzach też.

BULO

A to jak się rozpina?

JAN

Zatrząsk jest u dołu.

BULO

Dziękuję, rzeczywiście.

JAN

Nie ma o czym mówić.

JOANNA

To mnie przekonało. Nie jesteś nawet łobuz. Jesteś... Potem skończę. Ściągnąłeś mnie, bo chciałeś zwrócić na siebie uwagę, zdobyć popularność. To było znacznie łatwiejsze niż pisanie, ale nie czułeś do mnie nic. Wszystko było wykalkulowane. Handlowe małżeństwo. Jesteś wał.

BULO *coś rozrywa*

Przepraszam. Pani ma mu coś za złe?

JOANNA

Nic nie szkodzi.

BULO

Pękło.

JAN

Jesteś niesprawiedliwa. Wiesz, że jak ty odleciałaś do Francji, to ja na lotnisku gryzłem palce.

BULO

Palce? Jeszcze do tego wrócimy.

JAN

Tak, myślałem, żeby...
Wyciąga różne krzesła.

JOANNA

Powiesić się?

JAN

No nie... Umeblować się.

BULO

Aha, to rajstopy, a ja szukam podwiązek.

JAN

Ale wtedy dowiedziałem się, że poza Henrykiem i Heniem był jeszcze Naleśnik. I specjalnie dla ciebie robiłem te parę głośnych przeciw scenariuszy, żeby cię tu zwabić, to prawda. A potem trzask, ale to było z miłości. Gdzie jest biurko?

BULO

Buty jej zdejmować?

JAN

Oczywiście.

BULO

Nie dogaduj, Janku.

JAN

Przepraszam cię, Bulo.

JOANNA

Jaki trzask?

BULO

No, mówiłem już pani.

JAN

No, rzuciłbym wszystko, żebyś poszła w dół. Żebyś ty się w swoich kalkulacjach przeliczyła. Myślałaś, że ten powrót od razu zdyskontujesz. Tymczasem tu inni nie chcieli brać cię z satysfakcji, że ci się tam nie udało. Mnie miałaś. Ja byłem pewny, ale tu się oszukałaś.

BULO

Pani Joanno, już będę zaczynał.

JOANNA

Panie Bulo, jest pan pewny. Na początku był pan trochę nieprzyjemny.

JAN

Tyle że sam się też załamałem, bo nie spodziewałem się, że polubię pisanie... Ty też zdejmij buty.

BULO

Ja?

JAN

Oczywiście. Zachowuj się jak dżentelmen, chamie. Ta pani była wielką aktorką.

JOANNA

Bo ja na oko jestem krawcową, co?

JAN

Dlatego też zacząłem pić.

BULO

Można zaczynać?

JOANNA

Co ty tam piłeś. Najwyżej z braku talentu albo lenistwa. Z twoim charakterem nie można niczego robić dokładnie, nawet pić.

JAN

Po prostu źle się czułem po picciu następnego dnia.

BULO

Każdy się źle czuje, a pić trzeba. Z tym już nie dam rady.
Szarpie się z jakąś zapinką.

JOANNA

Pisałeś, prawdę mówiąc, ładnie. O łóżku lepiej milczeć.

JAN

Naprawdę? Dziękuję ci, Joanno.

BULO

Czy on w końcu zamknie dziób?

JAN zapelnia scenę coraz to nowymi sprzętami bez ładu i składu, podczas gdy w schowkach za półkami upycha stare

Nie przejmuj się, Bulo, tylko się przyłóż.

BULO

Co ty masz w tym za przyjemność?

JAN

Co ty wiesz o życiu?

BULO *wstaje*

Odwróczę go do ściany. On mnie rozprasza tym gadaniem, a poza tym...

JOANNA

Co, kochanie?

BULO

Ja się wstydzę.

JAN

Bulo, nie przejmuj się mną, palec ci obciąłem.

BULO

Skupiam się.

JOANNA

Bulątko... no, no, kochanie.

JAN

Nie masz szczęścia, Joanno, Bulo ma kompleksy.

BULO

Sflekuję go.

JOANNA

Nie, to bez sensu.

JAN

Naprawdę bardzo mi przykro.

BULO

Może najpierw coś zjem.

JOANNA

Może potem...

BULO

Nie, zaraz. Muszę zjeść coś pożywnego.

JOANNA

Sznycelek?

Ja n jęczy, ślania się, wyciągając z ukrycia fotele.

BULO

Wysmażony, i rosół z oczkami.

JAN

O, o...

JOANNA

Zaraz, kochanie.

Idzie do biblioteczki na lewo od J a n a, przesuwa ścianę, ma tam wmontowaną lodówkę. Wyciąga mięso i rosół. J a n zmęczony opada na fotel.

JAN

A więc tu to chowałaś.

BULO

Ty cicho bądź, gadzie. Gdzie są pieniądze?

JAN *jakby gaśnie*

W kieszeni.

B u l o podbiega, wyciąga pieniądze, chowa do kieszeni.

JOANNA

Ach, to tak. Wszyscy jesteście tacy sami.

JAN *do B u l a*

Wychodzisz?

BULO

Nie.

JAN

Dlaczego? Przecież nikt cię nie trzyma.

BULO

Rozsmakowałem się. Zmieniła się sytuacja, co?

JOANNA *ubierając się*

Na nikogo nie można liczyć, nawet na chama.

JAN

Ale tak prawdę mówiąc, to po co chcesz zostać?

BULO

A bo co?

JAN

Nie ma w tobie żadnej wiary, żadnego pragnienia, kulturalnie stoisz nisko...

BULO

Czy ty mnie znasz?

JAN

Ciebie?

BULO

A chcesz mnie poznać? To mnie opisz.

JOANNA

Należy mu się to. Kto tak pięknie o nim napisze?

JAN

Niby co?

BULO

Wszystko jedno. Zarobisz na mnie. Ona ma łeb. Pisz.

JAN

Wykluczone. Literatura nie może być do posługi. Umysłu nie można zniewolić. Poza tym, co tu dobrego można napisać?

BULO

Pisz, co chcesz, bylebym był dobrze pokazany. Przecież prawdy i tak nikt o mnie nie napisze. A ja chcę się podobać. Żeby mnie wszyscy polubili.

JAN

Bulo, tobie wszystko pomyłono. Wszyscy się tobie mają podobać.
Z kuchni wraca J o a n n a, wnosi sznyce, nakrywa do stołu. Siadają na krzesłach. Jedno jest za niskie, drugie za wysokie w stosunku do stołu. J a n obserwuje ich ponuro, siedząc w rogu sceny.

JOANNA

Smakuje ci?

BULO

Nieźle.

JOANNA

No to pocałuj.

BULO

Nie o to chodzi. Oboje mi się nie podobacie.

JAN *złośliwie*

Jak paluszek?

BULO

Co ty mnie... ty wiesz... zawsze mogę się sam pociąć.

JOANNA

Jeszcze sałaty?

BULO

Dlaczego nie?

JOANNA

Czego się napijesz?

BULO

Tam jest pejsachówka.

JAN

Dranie!

BULO

Jeszcze po secie.

JAN

Pożalujecie. Dziś ma przyjść do mnie przyjaciel.

JOANNA

Nie masz przyjaciół.

JAN

Cięc i koledzy z pracy.

JOANNA

Oni na ciebie donoszą. Cięc czytał twoje listy.

JAN

Jeśli nawet, to jest głęboko nieszczęśliwy.

BULO

Otworzę drugą butelkę.

JAN

Nie wierzę.

BULO

Będziesz pisał? Jestem prosty człowiek. A mój ojciec był fryzjerem.

JAN

A byłeś w lesie? Wywozili cię na taczkach? Wiatr historii sypał ci śniegiem w oczy?

BULO

Nie chcę pucu.

JAN

To co mam o tobie napisać? Żebyś ty miał pamięć przeszłości...

BULO

Ja ci powiem parę słów, jak chcesz. Ale czy ty jesteś taki cwaniak, że to wydasz?

JAN

Co w tobie w ogóle jest? Czego chcesz?

BULO

Zbić gębę takiemu jak ty. Ale to za proste.

JAN

Naprawdę?

BULO

Ty! Jeżeli ty mnie zrobisz, wiesz w co, to...

JOANNA

Bądź dobry. Pisz o nim ładnie, byle co.

BULO

Możesz wszystko wymyślić inaczej. Byleby było o mnie i prawdziwie. Nie lubisz prostych ludzi.

JAN

Wyjdź stąd, Bulo. Mam do ciebie żal. Wyjdź, bo ja wyjdę.
Wychodzi do ubikacji.

BULO *do Joanny, która parzy herbatę*

Trzymasz ze mną?

JOANNA

Tak, kocham cię.

BULO

To my we dwójkę będziemy teraz żyć?

JOANNA

Nie będziemy zwracać na niego uwagi.

BULO

Za co ty mnie kochasz?

JOANNA

Tego się nigdy nie wie.

BULO

Trochę się zapuściłaś.

JOANNA

Lubisz kwiaty?

BULO

Dosyć. Chryzantemy lubię białe.

JOANNA

Dasz mi dziecko?

BULO

A jak! A on?

JOANNA

Niech idzie.

BULO

Aha. Zaraz. Co tak wypędzasz człowieka?

JAN *wracając z pustymi rakami*

Nic mnie już nie cieszy. Naprawdę.

BULO

Nie gniewaj się. Nie ma o co.

JAN

Czy zostało coś do zjedzenia?

BULO

Nie.

JOANNA

Nie.

JAN

Moje życie jest bez sensu.

BULO

Licz się ze słowami.

JAN

Moglibyście mi pomóc, Joanno.

JOANNA

Jestem zmęczona. Nie ma nic w gazetach, starzeję się, tyję, mięso się kończy... Powieś się, jak chcesz.

JAN

Czy wspomnienie tamtych dni, kiedyśmy się kochali... Mogłabyś dać mi jakąś radę? A gdyby dokonać czegoś cennego? Tak zabić kogoś, zwalniając świat od jakiejś świni. Zaraz, zaraz... powiedziałaś: mięso się kończy, a nie – skończyło.

JOANNA

Nie łap mnie za słowa.

JAN

Wszędzie tyle kłamstwa, tyle kłamstwa.

BULO

Na mnie możecie liczyć, nigdy nie zostawię was samych.

JAN

Ależ, Bulo!

BULO

Janku!

JAN

Ależ, Bulo!

BULO

Naprawdę, poczułem się wam taki bliski.

JAN

Gdzie ty do nas?

BULO

Ale zwróciłeś na mnie uwagę, wypięś brudzia, uciąłeś palec... Ty nie wiesz, co to dla mnie znaczy.

J o a n n a kładzie się na tapczanie i zasypia.

JAN

Byłeś z Joanną przeciwko mnie. Próbowaliśmy tak i tak. Myślałem – ułożymy sobie życie.

JAN

A przecież masz żonę.

BULO

No, tam. Tu u was się czuję, że się jest kimś, że coś... Rozbudziliście we mnie nadzieję, a teraz mnie chcecie zostawić.

JAN

Daj spokój, Bulo. Wszystko już przemeblowane. Czy ty rozumiesz słowa?

BULO

Byłem głodny, nie myślałem.

JAN

Ja wiem, Bulo, ty nawet nie jesteś taki zły, tylko nie umiesz się zachować. My nigdy nie będziemy mogli żyć we trójkę.

BULO

Ja bym kradł albo pracował. Nawet w hucie, jak Boga kocham.

JAN

Nie, Bulo.

BULO

A już mnie prawie polubiłeś. Może byś mi obciął jeszcze jeden palec?

JAN

To nie ma sensu.

BULO

Ty nie jesteś dobry na kumpla.

JAN

Nigdy nie byłem.

BULO

Jesteś szmaciarz. A ja jestem silny, młody. Zdrowie mam dobre. Tylko mnie trzeba tego, co ty mi możesz dać razem z Joanną. A może chcesz, żebyśmy we dwóch wykańczali? Mogłoby być fajnie.

JAN

Nie, dziękuję ci, Bulo.

BULO

Ja też bym wam obojgu dawał, i to więcej... Jak chcesz, to ja sam załatwię Joannę.

JAN

Nie, naprawdę, kochany, dziękuję. Jesteś porządny facet.

BULO

A może...

JAN

Nie.

BULO

Byłeś kiedy w garażu?

JAN

To zależy.

BULO

Ja byłem.

JAN

Aha... I co?

BULO

Z dwoma szoferami.

JAN

I co?

BULO

To mi trochę zwichnęło życie.

JAN

W jakim sensie?

BULO

Odzywa się... (*podchodzi, siada koło J a n a*) Można się przysiąc?

JAN

Nie.

BULO

Jak się czymś zdenerwuję, albo przejmę... odzywa się.

JAN

Taaa.

BULO

Aha.

JAN

Taaa.

BULO

No?

JAN

Nie, Bulo, nie.

BULO

No...

JAN

To bez sensu.

BULO

No?...

JAN

Przywiązałbyś się do mnie jeszcze bardziej.

BULO

To co?

JAN

Popiszę trochę.

BULO

Ktoś się musi za mnie wziąć.

JAN

Weź się sam.

BULO

Ale nie mam idei.

JAN

Bulo, dotknąłeś sedna, choć nie czytałeś naszych filozofów. Od siebie dopowiem ci: wszystkie rozstrzygnięcia są niepełne... poza śmiercią. Dlatego musimy bardzo uważać na siebie.

JOANNA *przez sen*

Gdzie?

BULO

To twoje ostatnie słowo? Może masz jakiś inny adres? Znasz tylu ludzi, masz kolegów.

JAN

Niestety nic nie mogę dla ciebie zrobić.

J o a n n a chrapie.

BULO

Może ona?

JAN

Nie warto jej budzić.

BULO

No to koniec? Gdzie jest sznurek?

JAN

Na stole.

B u l o przysuwa krzesło, zarzuca sobie pętlę.

Wieszasz się?

BULO

Dlaczego?... To znaczy – tak.

JAN

Nie obudź jej.

BULO

Tyżeś mnie do tego doprowadził, taki frajer.

Kręci ze zdziwieniem głową, którą trzyma już w pętli.

JOANNA *przez sen*

Nie, to ja. A może Henryk? Albo Henio?

BULO

Napiłbym się herbaty.

Wiesza się.

JAN

No to cześć.

B u l o wisi przebierając nogami, za to później uspokaja się całkiem. Oczywiście i w tym wypadku aktor musi powiesić się naprawdę, nie ma mowy o żadnym udawaniu. B u l o wisi

dość długo, J a n pisze, ewentualnie znika za barykadą z książek, którą zaczął wznosić. Trwać to powinno minutę, może dwie, tak aby publiczność mogła sądzić, że to już koniec sztuki. Teraz J o a n n a budzi się, przeciąga i rozgląda dokoła.

JOANNA

Ktoś wisi. Czy to ty, Janie?

JAN

Nie, to Bulo.

JOANNA

Chyba spałam. Czuję się lepiej.

JAN *wychylając się zza książek*

Jak to właściwie było?

JOANNA

Co, kochanie?

JAN

Z nim?

JOANNA

Co?

JAN

No?

JOANNA

Przecież ja spałam, kiedy się powiesił. A propos: czy on się sam powiesił, czy to ty go powiesiłeś? Ale nie, ty byś się na to nie zdobył.

JAN

Tak, tak, tak, ale dlaczego?

JOANNA

Nie pamiętasz?

JAN

Coś mi... coś mi chodzi po głowie. Jak go tu przyniosłem, o coś mi chodziło, co?

JOANNA

Tak.

JAN

O jakąś ideę, nie? Coś takiego, co?

JOANNA

Tak, o pieniądze.

JAN

Nie, niemożliwe.

JOANNA

Ależ tak.

JAN

Poważnie?

JOANNA

Oczywiście.

JAN

Nie mówiłem jakoś inaczej? Że ludzkość... coś... pamiętam, coś tak było.

JOANNA

Sto pięćdziesiąt tysięcy.

JAN

I dlatego on się zabił? Do tego nic nie zarobiliśmy?

JOANNA

Nie.

JAN

Co za podłość!

JOANNA

Od tego się zaczęło... Bulo zostawił kawałek sznycla. Chcesz?

JAN

Mój Boże, dla pieniędzy!

JOANNA

To jesz czy nie?

JAN

Zostaw mnie w spokoju. Gdzie jest ten sznycel? Taki mały kawałek. Jest o czym mówić.
(*zjada sznycel*) To straszne.

JOANNA

Bulowi smakowało.

JAN

Więc myślisz, że myśmy go do tego doprowadzili? Ależ tak! Doprowadziliśmy Bula do samobójstwa. Dla pieniędzy... A on nic nie miał przy sobie?

JOANNA

Pięć tysięcy.

JAN *sprawdza u siebie w kieszeniach*
Nie widzę. Ty wzięłaś na pewno.

JOANNA
Bulo ci odebrał.

JAN
Zaraz zobaczymy.
Podchodzi do wiszącego B u l a, kontroluje mu kieszenie, wyciąga pięć tysięcy, wkłada sobie do kieszeni.

JOANNA
Nie martw się. Ty byś nikogo nie był w stanie doprowadzić do samobójstwa.

JAN
Toteż nie mówię, że ja, tylko że my.

JOANNA
Ja spałam.

JAN
Właściwie to było zabójstwo, a nie samobójstwo. To niezwykle! W centrum miasta! Dla pieniędzy! Co za ohyda! Tak tylko Hitler potrafił.

JOANNA
Przedtem odciąłeś mu palec.

JAN
Okaleczyliśmy, a potem zabiliśmy człowieka. Żeby był chociaż obcy rasowo, bylibyśmy usprawiedliwieni.

JOANNA
Proszę cię, nie wypowiadaj się za mnie.

JAN
O nie, nie, za to nas musi spotkać kara. Nie mamy prawa zabijać. Nawet ja, a tym bardziej ty.

JOANNA
Dlaczego niby tym bardziej? Poza tym różnica jest o wiele większa: ty mu odciąłeś palec, a ja mu chciałam ofiarować miłość.

JAN
Mógł być kimś wartościowym, a tak osierocił rodzinę.

JOANNA
Był jedynakiem.

JAN

Biedaczek! Nie miał siostrzyczki, nie miał nawet z kim bawić się w doktora. Trzeba to odpokutować. Powiniennem zostać zesłany, niestety, to teraz niemożliwe. Czy poszłabyś ze mną na zesłanie?

JOANNA

Nie gorączkuj się. Oczywiście, że nigdzie bym z tobą nie poszła.

JAN

A może powinni mnie skazać na dożywocie? Odwiedzałybyś mnie raz w miesiącu w celach prokreacyjnych. Przytłacza nas ciężar winy.

JOANNA

Jeśli o mnie chodzi, to nic nie czuję.

JAN

Nie wstydz się tego, to jest właśnie dowodem naszego człowieczeństwa. Uświadamia nam, że na pewne rzeczy nas nie stać, a pewnych robić nie wolno. Ze istnienie jest bezcenne. Powinniśmy pójść w jego ślady.

JOANNA

Janie, zachowujesz się okropnie. Wtedy kiedy sprowadziłeś Sonię, dawałeś mi co innego do zrozumienia. Byłam gotowa odejść.

JAN

Czuję się podle, Sonię sprowadziłem, bo była brunetką, wiedziałaś doskonale, że ja lubię tylko rude. To była dla ciebie próba.

JOANNA

Wtedy też histeryzowałaś, nie potrafiłaś ani w jedną stronę, ani w drugą.

JAN

Bulo zużył cały sznurek. Kiedyś się dla mnie farbowałaś. Ty rzeczywiście nie czujesz nic?

JOANNA

Nic.

JAN

Zastanów się.

JOANNA

Nic.

JAN

Absolutnie nic?

JOANNA

Nic.

JAN

Jeśli nie upodlenia, to wstydu chociaż?

JOANNA

Nie czuję.

JAN

Ciekawe!

JOANNA

Dlaczego?

JAN

Niezwykła sytuacja!

JOANNA

Dlaczego?

JAN

Bo ja też nie czuję nic.

JOANNA

Nic?

JAN

Absolutnie.

JOANNA

No widzisz. A tak się denerwowałeś.

JAN

Czyżbym był bez sumienia?!

JOANNA

Aha.

JAN

To znaczy, że jest gorzej, niż myśleliśmy.

JOANNA

Ja niczego nie myślałam.

JAN

Czy ty rozumiesz, co się stało?

JOANNA

Znowu zaczynasz.

JAN

Ty wiesz, co on dla nas zrobił?

JOANNA
Przesadzasz.

JAN
Bulo uświadomił nam, co się z nami stało. Że nie jesteśmy ludźmi. Męczeński koniec Bula stać się może naszym odkupieniem. I znowu staniemy się ludźmi.

JOANNA
Nie przesadzaj.

JAN
Nic nie rozumiesz.

JOANNA
Może jeszcze uklęknieś przed nim?

JAN
Uklęknę.
Kłeka.

JOANNA
I pomodlisz się?

JAN
Będę się modlił.

JOANNA
On cię zbawi. A więc zameczyłeś go z korzyścią. Ty zawsze umiesz coś zarobić. Jak nie pieniądze, to co innego. Nawet z trupa coś wyciągniesz. Z Sonią ci się nie udało nie dlatego, że nie była ruda. Szkoda ci było pieniędzy. Musiałbyś robić jej dzieci i płacić.

JAN
Oczywiście. Nie chcę mieć kobiet za pieniądze, tylko dla mnie samego.

JOANNA
Zwłaszcza że nie masz pieniędzy.

JAN
Nie przeszkadzaj mi. Mam teraz intymną sprawę z Bulem. Jeśli nie chcesz się do mnie przyłączyć, to nie.

JOANNA
Bądź spokojny. Bulo cię weźmie do nieba.

BULO *ciągle wisząc i nie ukrywając przy tym niechęci*
Takiego wała, ty pójdziesz do nieba! Bądź spokojny, że nie.

JAN
Ty nie dogaduj, Bulo, dobrze? Już się nagadałeś.

BULO

Robię to, na co mam ochotę.
J a n podnosi się, potem klęka, potem znów wstaje.

JOANNA do *J a n a*

Spodnie masz wygniecione.

BULO

Co wy wiecie o życiu.

JAN

Patrz na niego, jeszcze się stawia, cham.

BULO

W zoo struś publicznie leciał w konia.

JAN

Cóż za zwierzę z charakterem!

BULO

Nie wyzywaj mnie!

JAN

Ja o strusiu. To był protest. Mimo ograniczonej swobody nie chciał krzyżować się z innymi gatunkami. To dodaje odwagi. Jeszcze nie wszystko stracone.

BULO

To prawda, ludzie są różni.

JOANNA

Bulo, świetnie wyglądasz.

JAN

Ee!
B u l o próbuje się rozhuścić.

JOANNA

Popatrz, nawet się rusza.

JAN

Udaje.
B u l o z ogromnym wysiłkiem kopie J a n a w tylek. Uśmiecha się z wyraźną satysfakcją i znów nieruchomieje. J a n zbliża się do niego i nagle, chwytając go wpół, wieszka się na nim ruchem kata wykańczającego ofiarę. Po chwili puszcza go i odchodzi.

Teraz mu się odechce.

BULO

Mój znajomy na przykład kupił trumnę i spał w niej z żoną. Potem zaprosił kumpla i ten mu tę żonę tego. Więc odszedł, ale trumna została, a ten nowy jej w ogóle nie używał. I ona tam leży nikomu niepotrzebna, można by ją tanio odkupić. Co? To parę kroków stąd,

co? (zaczyna obmacywać kieszenie to zewnętrzne, to wewnętrzne, wyciąga nawet na wierzch kieszenie od spodni) Gdzie moja forsa?

JAN

Co za interesowność! Czy ty, Bulo, nie przesadzasz?
B u l o z traskiem urywa się i spada. Leży na ziemi.

JOANNA

Jezus Maria, myślałam, że coś się stało!

JAN

Mówiłem, że ten sznurek jest do niczego.

BULO *jęczy, masuje sobie plecy i siedzenie*

Nie zagaduj, dawaj szmal.

JAN

Trzeba było wziąć go poczwórnice, ale ty oczywiście uważałeś, że podwójnie wystarczy.
Boli cię, Bulo?

BULO

Pieniądze!

JAN *do J o a n n y*

Gdybym się powiesił, tak jak chciałaś, to mogłoby mnie to samo spotkać. Ja bym tu teraz leżał potłuczony.

JOANNA

W sumie już go lepiej było pociąć. Nie byłoby tyle bałaganu i zostałyby te parę złotych.

JAN

Pięć tysięcy... Stawiałem sobie wyższe cele.
B u l o podnosi się i nienaturalnym krokiem, jak Golem czy Frankenstein, sunie ku J a n o w i z wyciągniętymi dłońmi. Sposób mówienia B u l a musi być także niecodzienny – w końcu B u l o powiesił się i nie żyje w sposób oczywisty. Pojawia się dla wisielca wyjątkowa szansa gry scenicznej, którą nieżyjący aktor powinien w pełni wykorzystać.

JOANNA

Jak ja mam was obu dosyć! (*do J a n a*) Nienawidzę cię!

JAN *do J o a n n y*

Nienawidzę cię!
Wręcza B u l o w i pieniądze.

BULO

Nienawidzę was!
Siada ciężko na podłodze.

JAN *do B u l a*
Nienawidzę cię!

JOANNA *do Bula*
Nienawidzę cię!

BULO *do J o a n n y*
Nienawidzę cię!

JAN
Mnie?!

JOANNA
Tak.

BULO
Tak.

JAN
Po moim trupie!

BULO
Nie spoufalaj się.

JOANNA
Biedny Bulo! Wywisiałeś się tam. Jak się czujesz? Jak paluszek, który za nas oddałeś?

JAN
Oddał? Ha, ha! Bronił się. Siłą ześmy mu odcięli. Jak się miotał! A jak się wrywał! Tchórz! Szmata!

JOANNA
Tak tu jakoś smutno, jakoś ponuro! Może byśmy tak płytę puścili, co Bulątko? Nie zatańczymy sobie, co? (*wyciąga adapter, dmuchnięciem odkurza go, puszcza płytę*) No, Bulątko, no? (*dźwiga B u l a z podłogi, on ciężko leci w jej ramiona*) No, Bulątko, raz, dwa, raz dwa trzy. Co za leniuszek! Co się dzieje z tymi mężczyznami! Ach, Janie kochany, jak ja uwielbiam taniec! Moje Bulątko słodziutkie!
Tańczą walca z figurami, B u l o trochę sztywno.

JAN
Bulo tańczy fatalnie.
Wychodzi do kuchni.

JOANNA
Żebyś ty raz przestał krytykować!

JAN *wracając z kuchni z nożem i tasakiem*
Wygląda, jakby był chory.
J o a n n a wali B u l a w twarz.

JOANNA

O, już dostał rumieńców.

JAN

Wywala język.

JOANNA

Jest po prostu namiętny.

JAN

Przecież on w ogóle nie żyje!

JOANNA

Akurat! A jeśli nawet! (*do J a n a*) Kiedy tańczyliśmy ostatni raz?

JAN

Nigdy. Chciałem cię kiedyś poprosić, ale byłaś za bardzo pijana.

JOANNA

Ach, Janie, Janie, jak ja cię wtedy kochałam!
Przytula się namiętnie do B u l a.

BULO

Nie znoszę pijanych kobiet.

JOANNA

Wcale nie miałam ochoty pić. Ach, Bulo, Bulo, och, Janie, Janie!

JAN

Wielka mi zresztą rzecz, palec!
Bierze tasak, przygląda się swojej dłoni, układa ją na stole, bierze zamach i z samurajskim okrzykiem tnie. Jeśli reżyser woli, J a n odciąga połą marynarki i wbija sobie nóż w serce, a może pod pachę, kto go wie. W każdym razie krew tryska.

JOANNA

Pamiętasz tamten bal, na którym się poznaliśmy?

JAN *osuwając się na podłogę*

Nie.

JOANNA

A rzeczywiście, to nie byłeś ty. Ciebie poznałam gdzie indziej. Tam poznałam Henia... albo Henryka.

J a n krwawi.

Zabrudzisz mi cały dywan.

J a n krwawi uparcie.

Jeśli myślisz, że za pomocą takich metod odwrócisz moją uwagę od Bula...

J a n słabnie.

Ośmieszasz się.

JAN

Popełniłem błąd. Nie należało obcinać Bulowi palca. Jeśli chce się ludźmi wstrząsnąć, trzeba nie na ich oczach, ale ich samych amputować. Za zaniechanie będą gotowi płacić. *Podrywa się na nogi i staje w rozkroku, nieco chwiejąc się. Wyciąga ręce do przodu i zaczyna z wolna sunąć w stronę J o a n n y.*

Joanno, czuję się lepiej.

JOANNA

Bulo, on majaczy.

JAN

Jestem coraz silniejszy.

JOANNA

To agonia.

JAN

Zjadłbym coś.

JOANNA

Już ma drgawki.

BULO

Rozumiem go doskonale.

JAN obejmuje ich obydwaje

Cieszę się, że jesteście przy mnie i że jesteśmy razem. Droga Joanno! A ciebie, Bulo, szanuję jak nigdy.

JOANNA

Chyba umarł.

JAN

Bulo, kocham cię.

JOANNA

Nie wierzę.

BULO

Co ty wiesz o mężczyznach!

JOANNA

Co za dzień!

JAN

Poświęciłaś dla mnie tyle!

JOANNA

Nie myśl o tym nawet!

JAN

Można przecież żyć razem, kochać i być kochanym.

BULO

Po prostu być człowiekiem.

JAN

Ależ tak! Na początku miałem do ciebie żal, Bulo.

BULO

A tam, nie ma o czym mówić.

JAN

Wtargnąłeś jednak w moje życie.

BULO

Prawdę mówiąc to mnie wniosłeś. Ale też nie mam do ciebie żalu, chociaż nie masz jaj.

JOANNA

Lodówka będzie zawsze otwarta.

JAN

A czy nie mogłabyś ty także?

JOANNA

Co?

JAN

Tak jak my obaj.

JOANNA

Ale co?

JAN

No?

JOANNA

Ależ oczywiście! Co tylko chcesz.

JAN

Czy ja wiem, czy ja wiem...

JOANNA

No... śmiało!

JAN

Nie chciałbym ci niczego narzucać.

JOANNA *trzymając w raku tasak*

Ależ naprawdę, Janie, powiedz, co wolisz.

JAN

Ucho, może... nos... nie, naprawdę ty musisz wybrać. Jesteś u siebie.

JOANNA

No to... ręka.

JAN

Sama, czy pomóc ci?

JOANNA

Nie męcz się, sama ją ciachnę.

Bierze zamach tasakiem, tnie, rąbie, a kto wie, czy dodatkowo nie wbija sobie noża.

JAN

Moja malutka!

JOANNA *rzezi*

Aaaa...

JAN

Kochanie...

JOANNA

Jeszcze jedną? (*scenicznym szeptem*) Kocham cię.

JAN

Kocham cię.

Bulo

Kocham was!

JAN *do B u l a*

Kocham cię!

BULO *do J a n a*

Kocham cię.

JOANNA *do B u l a*

Kocham cię.

JAN *do B u l a i J o a n n y*

Kocham was.

JOANNA *do J a n a i B u l a*

Kocham was.

JAN

Nie ma sytuacji bez wyjścia. Musimy przetrwać, a wraz z nami to, co najlepsze.

Treść

My sweet Raskolnikow
Obciach